

Nr 5 (150) – B Rok 25

Wrzesień–Październik 2019



KOŚCIÓŁ RZYMSKOKATOLICKI NA UKRAINIE

Wołanie z Wołynia *Воання з Волині*

Pismo religijno-społeczne Rzymskokatolickiej Diecezji Łuckiej

Dwumiesięcznik **Wołanie z Wołynia** – *Воання з Волині*

Pismo założone w 1994 roku. Założyciel i wydawca: Parafia Rzymskokatolicka pw. Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny w Ostrogu na Wołyniu.

Redaktor naczelny: ks. Witold-Yosif Kovaliv.

Redakcja: Irena Androszczuk, ks. Władysław Czajka, Irena Dejneka, ks. Grzegorz Draus, Maria Kalas, Jarosław Kowalczyk, Ludmiła Poliszczuk, ks. Waldemar Szlachta, Inna Szostak, ks. Andrzej Ścisłowicz.

Redakcja publikuje materiały nie zawsze podzielając poglądy ich autorów.

Zamieszczone w piśmie materiały mogą być przedrukowywane z podaniem źródła.

Adres redakcji:

✉ вул. Князів Острозьких, 4-а
35800 м. Остріг, Рівненська обл.

Україна

☎ & Fax + 380 (3654) 2-30-38

E-mail: vykovaliv@gmail.com

Świadectwo rejestracji: RW nr 187
z 15 maja 1997 r.

ISSN 1429-4109

Oddział redakcji w Polsce:

✉ Ośrodek “Wołanie z Wołynia”,
skrytka pocztowa 9, 34-520 Poronin
<http://www.wolaniecom.parafia.info.pl/>

Dobroczyńców prosimy o wpłaty na konto:

Stow. Ośrodek “Wołanie z Wołynia”

PBS. ZAKOPANE O/BIAŁY DUNAJEC

nr 77 88210009 0010 0100 1892 0001

Dla wpłat z zagranicy należy dopisać:

S.W.I.F.T code: POLUPLPR

~ ~ ~ ~

Jesteśmy w Facebook’u:

«Wołanie z Wołynia

– Воання з Волині»

<http://www.facebook.com/Wolanie/>

«Sursum corda»

<http://www.facebook.com/Sursum-corda-254753281236024/>

SPIS TREŚCI

- s. 3-7: Marek KOZUBAL, *Wraca Patronka Wołynia*
s. 5-6: Ks. Witold-Yosif KOVALIV vel ks. Witold Józef KOWALÓW, *25-lecie pracy Sióstr Opatrzności Bożej w Sławucie*
s. 7: Czesław JANCZARSKI, *Sygnaturka, Nad Styrem*
s. 8-9: Anatol OLICH, *Śladami Świętego Zygmunta Szczęsnego Felińskiego*
s. 5-6: Ks. Witold-Yosif KOVALIV vel ks. Witold Józef KOWALÓW, *Ostróg pod Krzyżem*
s. 11-13: Петро КРАЛЮК, *Письменник Улас Самчук. Його творчість вимагають повернути до шкільної програми*
s. 14: На Рівненщині підготували звернення до Гриневич з вимогою повернути до шкільної програми твори Самчука
s. 15-17: Łukasz KOBESZKO, *Bl. Władysław Bukowiński. Polski ksiądz w heroicznej walce z ateistycznymi pustyniami ZSRR*
s. 18: Alicja SIOMKAJŁO, *Żegnając pisarza. Romuald Wernik (23 XII 1926 – 16 II 2011)*
s. 19-20: Улас САМЧУК, *Нарід чи чернь?*
s. 21-28: Adolf BOCHENSKI, *Aktualność idei jagiellońskiej [1937]*
s. 29-30: Andrzej SZNAJDER, *Kamil de Pourbaix – zapomniany patriota z Wołynia*
s. 31-41: Józef Ignacy KRASZEWSKI, *Nocleg w Boremlu*
s. 42: Czesław JANCZARSKI, *Modlitwa*
s. 43-44: C. [Ks. Zygmunt CHMIELNICKI, *Sprawa madagaskarsko-wołyńska*
s. 45-46: *Litania do bł. Jana Beyzyma, Posługacza Trędowatych*
s. 47-49: Piotr ZGORZELSKI, *Prawo do pamięci o Wołyniu*
s. 50-51: S. Hieronima-Dorota KONDRACKA, *Posługa Sióstr Albertynek we Lwowie*
s. 52-53: Anatol OLICH, *W Horochowie będzie nowy kościół*
s. 54: Michał KOWALUK, *II Śniadanie Modlitewne w Ostrogu*
s. 55: Ks. Witold-Yosif KOVALIV vel ks. Witold Józef KOWALÓW, *Ostrogskie Czytania Naukowe. 27-28 września 2019 roku*
s. 56: Łucja ZALEWSKA, *Dzień skupienia i srebrny jubileusz kapłaństwa ks. Andrzeja Ścisłowicza*

Poprzednie numery z tego roku oraz roczniki 2010-2018 „Wołania z Wołynia” w wersji elektronicznej dostępne są m.in. pod adresami:
http://www.duszki.pl/wolanie_z_wolynia/
<http://kresy24.pl/archiwum-pisma-wolanie-z-wolynia/>

Uprzejmie dziękujemy za pomoc w digitalizacji archiwum naszego czasopisma
 Śląskiej Biblioteki Cyfrowej:
<https://www.sbc.org.pl/>

Nie jesteśmy w stanie odpowiadać na wszystkie listy. Przepraszamy.
 Redakcja «Wołania z Wołynia»



SENAT
 RZECZYPOSPOLITEJ
 POLSKIEJ



Projekt jest współfinansowany w ramach sprawowania opieki Senatu Rzeczypospolitej Polskiej nad Polonią i Polakami za granicą za pośrednictwem Fundacji „Wolność i Demokracja”

Життя Католицької Церкви на Волині

WRACA PATRONKA WOŁYNIA

W wołyńskiej Ołyce powstanie maryjne sanktuarium. To szansa na wzrost oddziaływania polskiej kultury na tych terenach.

W piątek w siedzibie Konferencji Episkopatu Polski ogłoszona zostanie informacja o zamiarze powołania sanktuarium maryjnego w Kolegiacie w Ołyce. Poinformuje o tym ordynariusz łucki bp Witalij Skomarowski.

Wieczorem na Zamku Królewskim Fundacja Dziedzictwa Kulturowego przekaze zaś biskupowi zrekonstruowany obraz Matki Boskiej Kazimierzeckiej – patronki Wołynia. Kopię namalował gdański artysta Tomasz Kucharski. Sukienkę dla obrazu ze złoczonej srebrnej blachy wykonał krakowski konserwator Tadeusz Galant.

Do dzisiaj na Wołyniu przetrwało zaledwie 20 kościołów katolickich (z 200 istniejących przed wojną), rzymskokatolickiego sanktuarium maryjnego nie ma żadnego. – Na sąsiednim Podolu jest kilkanaście takich sanktuariów, a na Wołyniu będzie pierwsze. W tym miejscu zostało niewielu Polaków, a dla nich to miejsce ma olbrzymie znaczenie. Im silniejszy jest na Wschodzie polski Kościół, tym większe są wpływy polskiej kultury – mówi „Rzeczpospolitej” Jurek Wójcicki, członek zarządu Związku Polaków na Ukrainie.

Na razie nie wiadomo, kiedy sanktuarium zostanie erygowane. To zależy od postępu prac prowadzonych w Ołyce. Kolegiata jest odnawiana. Jeszcze dwa lata temu była w kompletnej ruinie.

Dlatego Konstanty Czapaga, dziennikarz „Kurieru Galicyjskiego” ze Lwowa, który specjalizuje się w tematyce ko-



Ikona Matki Bożej Kazimierzeckiej

Fot. Archiwum

ścielnej, zastrzega, że dopiero po zakończeniu prac kolegiata może stać się miejscem pielgrzymek.

– Utworzenie sanktuarium będzie miało duże znaczenie dla diecezji łuckiej. Przyciągnie wiernych nie tylko z Wołynia, ale całej Galicji – dodaje. Jego zdaniem odnowiona świątynia może przyciągać również turystów. – Ołyka ma dobre położenie, mogą tu odbywać się koncerty, to miejsce może znowu żyć – przekonuje.

Kościół w Ołyce ufundował w I połowie XVII w. Albrecht Radziwiłł. Zdaniem historyków jest to najwyższej klasy zabytek z okresu baroku, z unikalnym wyposażeniem i nagrobkami Radziwiłłów. – Był uznawany za najpiękniejszy i najcenniejszy kościół na Wołyniu – przypomina dr



Restaurowany od 2013 r. kościół w Ołyce uchodził za najpiękniejszy na Wołyniu

Fot. Archiwum

Michał Laszczkowski, prezes Fundacji Dziedzictwa Kulturowego.

W czasie wojny świątynia została zdezastrowana. Od 1944 r. była otwarta, elementy wystroju rabowano. Po wojnie parafia ołycka została rozwiązana, a Sowieci zamienili kolegiatę na kołchozową stajnię. Dopiero w 1991 r. władze ukraińskie przekazały kościół wiernym i znów jest on miejscem kultu religijnego.

Parafia liczy tylko ok. 150 osób. Nie jest w stanie udźwignąć odbudowy. Zabytek ratuje więc Fundacja Dziedzictwa Kulturowego przy wsparciu finansowym Ministerstwa Kultury oraz MSZ.

– Trwająca od 2013 r. renowacja jest obecnie największą realizacją konserwatorską prowadzoną ze środków polskich za granicą – podkreśla Laszczkowski. – Mamy fundusze na zamknięcie bryły obiektu, ale wciąż brakuje na przystąpienie do prac konserwatorskich przy elementach wyposażenia: alabastrowych ołtarzach i epitafiach, a także złożonych fi-

gurach apostołów i rozetach – wylicza. Koszt dokończenia prac szacuje na kilka milionów złotych. Fundacja wciąż zbiera pieniądze na ten cel.

Niezwykła jest też historia obrazu, przed którym przez setki lat modlili się mieszkańcy Wołynia. Obraz Matki Boskiej został przywieziony z Palestyny w XVII wieku przez Mikołaja Radziwiłła i do 1939 r. znajdował się na zamku w Ołyce. XVII-wieczna kopia stała się obiektem kultu w pobliskim sanktuarium w Kazimierce.

Przestało ono istnieć 25 kwietnia 1943 r. w Niedzielę Wielkanocną, gdy nacjonaliści ukraińscy wysadzili kościół w powietrze. Cudowny obraz najpewniej został zniszczony lub zrabowany. Na powrót patronki Wołynia trzeba było czekać ponad 70 lat.

Marek Kozubal

Źródło:

„Rzeczpospolita” nr z 7 kwietnia 2016 r.

Життя Церкви на Волині - Життя Церкви на Волині

25-LECIE PRACY SIÓSTR OPATRZNOŚCI BOŻEJ W SŁAWUCIE

W niedzielę, 29 września 2019 r. w kościele parafialnym pw. św. Doroty w Sławucie została odprawiona uroczysta Msza św. z okazji jubileuszu 25-lecia pracy Sióstr Opatrzności Bożej w Sławucie. Mszy św. przewodniczył miejscowy proboszcz ks. Jan Szańca. Kazanie wygłosił ks. Grzegorz Semenkow z Charkowa, pochodzący z parafii Sławuta. Koncelebrowali ks. Stanisław Winiarski z Symferopola na Krymie, też rodem z parafii Sławuta, Ks. Antoni Andruszczyszyn (poprzedni proboszcz, za którego siostry otworzyły placówkę w Sławucie), ks. Paweł Fedirczuk z Niecieszyna i ks. Vitold Yosif Kovaliv z Ostroga. Na uroczystość przybyły władze Zgromadzenia w osobach matki generalnej s. M. Haliny Modelskiej SOB i s. M. Zdzisławy Swobody, asystentki matki generalnej, z Grodziska Mazowieckiego. Obecnych było także kilka innych sióstr, rodem ze Sławuty i Równego oraz aktualnie pracujące siostry w Równem, s. Julia Potaś i s. Mateusza Nawrocka. Łącznie obecnych było 12 sióstr. Tak wiele sióstr razem w Sławucie nie widziano.

Po Mszy św. zebrani na liturgii mogli zobaczyć prezentację fotografii ilustrującą 25 lat gorliwej pracy sióstr. Zebrani parafianie sławuccy, starsi, młodzież i dzieci, dziękowali za ofiarną pracę Sióstr Opatrzności Bożej w Sławucie. Wspomnijmy wszystkie Siostry, które pracują i pracowały w Sławucie: s. Urszula Job – od 1994 roku, s. Rachela Chilicka w latach 1994-2002, s. Agnes Łukasz w latach 2002-2009 i s. Witalija – od 2009 roku. Ich ofiarna praca jest pięknym



**Jubileuszowy tort z symbolem
Opatrzności Bożej**

Fot. Ks. Paweł Fedirczuk

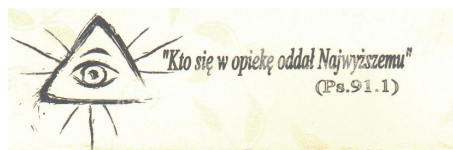
rozdziałem historii miejscowego Kościoła. Deo gratias!

Kapłani obecni na uroczystości w kościele i obiedzie na probostwie otrzymali pamiątkowy breloczek i po torebce cukierków „Boże krówki” – 6 cukierków (łączna waga 100 g) zawinięte w papierki ze złotymi myślami świętych.

Cieniem na uroczystości położył się fakt zakończenia w tym samym dniu pracy w Sławucie przez ks. proboszcza Jana Szańca, który decyzją ordynariusza diecezji kamieniecko-podolskiej bpa Leona Dubrawskiego OFM, po odbyciu pierw-



**Prezentacja 25-letniej pracy Sióstr
Opatrzności Bożej w Sławucie**
Fot. Ks. Paweł Fedirczuk



szego w życiu urlopu, z dniem 20 listopada 2019 r. ma objąć parafię Krzywaczyńce na Podolu. Niedawno w parafii sławuckiej była także przeprowadzona przez biskupa pomocniczego Jana Niemca pierwsza od ponad 20 lat wizytacja kanoniczna.

*ks. Witold-Yosif Kovaliv
vel. ks. Witold Józef Kowalów*



*“Хто живе під захистом
Всевишнього,
Той перебуватиме під
покровом Всемогутнього.”*

**Богу нехай буде подяка
за 25 років служіння
Сестер Божого Провидіння
в парафії св. Дороти
в м. Славута в Україні.**

Славута 1994 - 2019



**Świąteczna dekoracja
sali katechetycznej na plebanii**
Fot. Ks. Paweł Fedirczuk

Poezja - Поeзiя

Czesław JANCZARSKI

SYGNATURKA

Idącego drożyną, gdy cisza na pagórkach
wieczorny welon ściele,
dobiegła mię, oj, zdyszana sygnaturka
z wieżyczki na kościele.
Klękają cienie ciche, przydrożne,
wiosenne badyle.
I ja głowę słowem szczerym, nabożnym
Nisko pochylę.
Idę drożyną – oj, drożyno polna jakaś,
Wiedziesz przed siebie!
A ton czysty sygnaturki szarym ptakiem
Nade mną przebiegł.

„Życie Katolickie” nr 16 z 13 kwietnia 1937, s. 246

NAD STYREM

W olchach gwiazdy na zimnej fali,
wodorostem plusk jak szept modlitwy –
Styr jak tafla wśród olchowych alej
toczy smutek księżycy.
Koła w pisaku gubią zmęczenie,
noc się wleczę za wozem jak czarny pies.
Rechot żab kierunek rzeki zmienił,
woda płynie już nie naprzód, ale wstecz:
nic dziwnego, noc jest ciemna – zbłądzić łatwo.
Na polance tyralierą szły stogi.
Ktoś porzucił głos w ciszę zatknął.
Ktoś piejący jak kogut.
Nad ranem Styr uciekł rechotaniem żab w olch ciszę –
wyjechaliśmy z lasu
w brzask.
Żyta ciekawie podbiegły do kół, kłosami liczą szprychy.

„Życie Katolickie” nr 35 z dnia 30 sierpnia 1936 r.

Моя мала Оjczyзна - Моя мала батьківщина

ŚLADAMI ŚWIĘTEGO ZYGMUNTA SZCZĘSNEGO FELIŃSKIEGO

Mroczne zimne korytarze, przynębiająca cisza, ciągły post, surowo zaciśnięte usta – tak wielu wyobraża sobie klasztor i życie w nim. Jednak wystarczy spojrzeć na prawdziwe, a nie filmowe zakonnice – i wszystkie stereotypy zostają natychmiast rozwiane.

29 i 30 lipca 2019 r. w Łucku przebywały zakonnice ze Zgromadzenia Sióstr Franciszkanek Rodziny Maryi. Zgromadzenie jest dość liczne: 71 ośrodków w Polsce, 54 w Brazylii, jego siostry prowadzą słynny szpital Bambino Gesù w Rzymie i mają kilka domów zakonnych na Ukrainie, Białorusi, w Kazachstanie i Rosji.

Obecnie siostry zakonne pielgrzymują do miejsc związanych z życiem metropolity warszawskiego, arcybiskupa Zygmunta Szczęsnego Felińskiego, założyciela Zgromadzenia. Celem podróży jest wieś Dźwiniaczka (obecnie rejon borszczowski w obwodzie tarnopolskim), gdzie kiedyś pracował arcybiskup i gdzie po śmierci przeniesiono jego szczątki.

W Łucku znalazły się one nieprzypadkowo, bowiem los Zygmunta Szczęsnego Felińskiego, którego Kościół Rzymskokatolicki czci jako świętego, jest związany z Wołyniem. Urodził się 1 listopada 1822 r. we wsi Wojutyn (obecnie rejon łucki), uczył się w gimnazjach w Krzemieńcu i Łucku. Los przyszłego świętego nie był łatwy – gdy miał 11 lat, zmarł jego ojciec, a pięć lat później władze rosyjskie skonfiskowały majątek Felińskich za udział w polskim ruchu wyzwolenicznym. Matka, Ewa Felińska (patronka

Stowarzyszenia Kultury Polskiej na Wołyniu) została zesłana na Syberię, a siedmiorgiem dzieci zaopiekowali się krewni. Dzięki dobroczyńcom Zygmunt z wyróżnieniem ukończył studia na Wydziale Fizyki i Matematyki na Uniwersytecie Moskiewskim, a następnie kontynuował naukę na Sorbonie i w Collège de France. Po studiach Zygmunt Szczęśny Feliński postanowił poświęcić się Bogu. Świecenia kapłańskie otrzymał w 1855 roku. Służył najpierw jako wikariusz w Petersburgu, wykładał na Akademii Duchownej, stworzył schronisko dla seniorów i sierot, którymi opiekowało się założone przez niego Zgromadzenie Sióstr Franciszkanek Rodziny Maryi. W 1862 r. Papież Pius IX powołał Felińskiego na arcybiskupa warszawskiego. Na tym stanowisku starał się chronić praw katolików w Imperium Rosyjskim i za to władze skazały go na 20 lat zesłania w Jarosławiu nad Wołgą. Arcybiskup nie zgodził się na propozycję wyjazdu za granicę i przyznania emerytury w zamian za zrzeczenie się własnej diecezji. Pozostał do końca wierny Kościołowi i swojemu powołaniu. Zmarł w 1895 r. w Krakowie. Następnie został ponownie pochowany w Dźwiniaczce – wsi, w której Feliński służył jako kapelan po powrocie z zesłania, ponieważ zabroniono mu nawet przekraczać granice diecezji warszawskiej. Kościół Katolicki beatyfikował Zygmunta Szczęsnego Felińskiego w 2002 r., a w 2009 r. ogłoszono go świętym.

W Łucku siostry zakonne miały bogaty program: pierwszego dnia wieczorem odwiedziły budynek byłego gimnazjum,

w którym uczył się ich założyciel, Sobór Trójcy Świętej, Stowarzyszenie Kultury Polskiej im. Ewy Felińskiej na Wołyniu, modliły się w pobliżu tablicy upamiętniającej osoby, które zginęły na Majdanie i na wschodzie Ukrainy. Następnego dnia wzięły udział w porannej mszy w katedrze Świętych Apostołów Piotra i Pawła w Łucku oraz zwiedziły Stare Miasto. W pobliżu klasztoru sióstr brygidek uczciły pamięć kilku tysięcy więźniów zamordowanych przez NKWD 23 czerwca 1941 roku. Zakonnice zostały także zaproszone do odwiedzenia kaplicy Świętych Cyryla i Metodego, która powstaje przy Wołyńskim Seminarium Duchownym na ulicy Drahomanowa. Dodać należy, że w tych pomieszczeniach, które kiedyś należały do klasztoru dominikanów, w latach 30–40. XX wieku mieszkał ordynariusz łucki biskup Adolf Piotr Szelązek. Szczególne wrażenie na siostrach wywarł dom rzeźbiarza Mykoły Gołowania, który od dawna stał się wizytówką Starego Łucka. Gospodarz, widząc tłum zakonnice, oprowadził gości z Polski i wręczył im upominki z Łucka.

Następnie siostry zakonne udały się do Wojutyna, gdzie niestety nie było już żadnych śladów po majątku Felińskich. Podobny zawód czekał na nie, kiedy udały się na cmentarz katolicki we wsi Skurcze: okazało się, że autobus nie jest w stanie pokonać dziur i rowów, które z jakiegoś powodu zostały oznaczone na mapie jako droga.

Pomimo tych wszystkich kłopotów zakonnice pozostawały radosne i uśmiechnięte. Od siebie dodam, że podczas mojego improwizowanego oprowadzania ulicami Starego Miasta przechodnie zaczęli nas, uśmiechali się i zagadywali. Święty Giovanni Bosco powiedział kiedyś: *«Smutny święty to żaden święty»*. A ponadto: *«Szatan boi się ludzi ra-*

dosnych». Pielgrzymujące zakonnice były dobrym dowodem na prawdziwość tych stwierdzeń.

Janina Kierstan, przełożona Zgromadzenia Sióstr Franciszkanek Rodziny Maryi powiedziała, że przed II wojną światową na ziemiach ukraińskich zakon liczył 90 ośrodków. Obecnie istnieją tylko cztery wspólnoty – dwie we Lwowie oraz po jednej w Bóbrce i Samborze w obwodzie lwowskim. Niestety, nie ma sióstr franciszkanek w ważnym dla zgromadzenia miejscu – w Dźwiniacze. Świątynia zbudowana przez ich założyciela znajdowała się ostatnio w opłakanym stanie – ruiny, wszędzie leżały butelki i śmieci, na ścianach widniały wulgarne napisy. Teraz już jest posprzątana, rozpoczęto prace remontowe. Zakonnice przywoziły tablicę pamiątkową z imionami 34 sióstr które zmarły w latach istnienia klasztoru w Dźwiniacze i spoczęły tam na miejscowym cmentarzu, po grobach nie ma nawet śladu.

Zapytana o to, co najbardziej spodobało się pielgrzymom na Ukrainie, ponieważ prawie wszystkie zakonnice były tu po raz pierwszy, Matka Janina odpowiedziała: *«Jak widzimy realia miejscowe i dotykamy tych miejsc, gdzie był nasz Założyciel, to naprawdę wracamy ożywione. I otwartość ludzi na tym terenie też jest dla nas szczególnym znakiem – chociaż jest duże różnicowanie językowe, wyznaniowe, szczerość i serdeczność są po prostu zachwycające»*.

Anatol Olich

Anatol Olich, „Śladami Świętego Felińskiego”, „Monitor Wołyński” nr. 15 (239) z 15 sierpnia 2019 r., s. 1 i 8.

Warto zobaczyć galerię fotografii wykonanych przez Autora tekstu:

<http://monitor-press.com/pl/2-pol/wiadomo-ci/7687-23838.html>

Ў нас на Воўліні - У нас на Волині

OSTRÓG POD KRZYŻEM

W sobotę, 14 września 2019 r. w święto Podwyższenia Krzyża Świętego w Ostrogu nad Horyniem po Mszy św. o godz. 8.00 odmówiliśmy przed krzyżem przed wejściem do kościoła część bolesną Różańca Świętego. W ten sposób, chociaż mieszkamy poza granicami Polski, odpowiedzieliśmy na zaproszenie do wzięcia udziału w modlitwie „Polska pod Krzyżem”, które otrzymaliśmy z Częstochowy.

Staliśmy pod krzyżem, także pod tym w Ostrogu na Wołyniu, który prawie 30. lat temu na nowo – po prawie 30. letniej przerwie – został postawiony na kopule naszego kościoła i przed nim.

Dnia 12 listopada 2019 r. mija 30 lat od pierwszej Mszy św., odprawionej po prawie 30. letniej przerwie, przez ks. Antoniego Andruszczyszyna, wówczas ze Sławuty. W sobotę, 16 listopada, tę i inne rocznice – 25-lecie Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Ostrogskiej (zarejestrowane w dniu 17 października 1994 roku) i 25-lecie wydawnictwa „Wołania z Wołynia” („na świętą Łucję”, w dniu 13 grudnia 1994 ukazał się pierwszy numer naszego pisma) – będzie z nami świętował nasz biskup Witalis Skomarski, ordynariusz diecezji łuckiej.

Czy do końca rozpoznajemy kierunek, jaki w naszym życiu wyznacza Krzyż święty? Ów znak wnosimy nie tylko na naszych świątyniach, placach i skrzyżowaniach dróg. Trzeba go także wywyższyć w naszym codziennym życiu, bo inne drogowskazy zajęły należne mu miejsce.

Krzyż, znak naszego zbawienia i zwycięstwa, wciąż dla wielu jest zgorszeniem i głupstwem. Wdzięczni Bogu za KRZYŻ NASZEGO ZBAWIENIA ze skrucą stajemy przy Chrystusie, który we Mszy św. uobecnia swoją OFIARĘ KRZYŻA.

ks. Vitold-Yosif Kovaliv
vel ks. Witold Józef Kowalów



**Modlitwa pod Krzyżem w Ostrogu
w święto Podwyższenia
Krzyża Świętego**

Fot. Tatjana Rawska



Punkt widzenia - Точка бачення

ПИСЬМЕННИК УЛАС САМЧУК. ЙОГО ТВОРЧІСТЬ ВИМАГАЮТЬ ПОВЕРНУТИ ДО ШКІЛЬНОЇ ПРОГРАМИ

Непростою була доля Уласа Самчука (1905-1987). Як і доля його творчого спадку.

У своєму рідному краї, який він оспівав у трилогії «Волинь» і який опинився в складі міжвоєнної Польщі, Самчук не міг себе реалізувати як письменник. Він нелегально емігрував із Польщі на Захід. Спочатку опинився в Німеччині, де певний час навчався в університеті Бреслау (нині – Вроцлав). Потім доля його закинула в Прагу, де були зосереджені центри української політичної й культурної еміграції. Тут він написав і видав низку творів, які зробили його знаменитим. Передусім це стосується трилогії «Волинь».

Був учасником змагань за створення держави Карпатська Україна. Цей досвід послужив для написання письменником низки творів, зокрема романів «Гори говорять» та «Сонце з заходу», які не втратили свого значення до дня сьогоднішнього – особливо в контексті тих подій, що зараз відбуваються на Закарпатті.

Під час німецької окупації українських земель у час Другої світової війни Самчук повернувся на батьківщину. У Рівному видавав газету «Волинь». Оскільки видання було легальне, письменнику доводилося йти на порозуміння з окупаційною владою. Однак газета мала на меті поширювати



Pisarz Ulas Sanczuk

Fot. Wikimedia Commons

українську національну ідеологію, а це не подобалося гітлерівцям. Зрештою, газета була закрита, а Самчук ледь уникнув розстрілу.

Про часи перебування в Україні за часів німецької окупації Самчук залишив спогади «На коні білому» і «На коні вороному». Ці твори дають адекватне

уявлення про те, що робилося на наших теренах у цей непростий період.

Самчук не мав ілюзій щодо радянської влади. Тому емігрував на Захід. Опинився в далекій Канаді, де і скінчив своє життя.

Спадщина письменника велика і різноманітна. Його твори не лише про рідну Волинь, Закарпаття, а й про Велику Україну, українську еміграцію. Його називають *«літописцем українського простору»*.

Зрозуміло, творчість Самчука була під забороною в радянській Україні. Лише за часів незалежної Української держави письменник почав повертатися на свою батьківщину. Було перевидано низку його творів. Це і згадувана *«Волинь»*, перевидання якої викликало чималий резонанс. Це й роман *«Марія»*, який вважається першим в українській літературі твором про Голодомор 1933 року. З'явилися праці про твори письменника, музеї, кілька пам'ятників та вулиць, названих на його честь, літературні премії Уласа Самчука. Письменник увійшов до літературного канону. Лектурою, що почала вивчатися в школах, став роман *«Марія»*.

«НЕУГОДНИЙ» ПИСЬМЕННИК

Проте поверненню творчості Самчука до широкого кола українців чинили опір. Занадто цей письменник, зорієнтований на європейські цінності, виявився неприйнятний для *«радянських людей»*, яких чимало лишалося і на щаблях влади, і в наукових інституціях. Коли виповнилося століття з дня народження Самчука, цей ювілей в Україні широко не відзначався. Принаймні Верховна Рада, де в той час чималим впливом користувалися комуністи, не прийняла постанови про відзначення його ювілею. Щоправда,

наш вищий законодавчий орган *«виправився»*, прийнявши в 2015 році постанову про відзначення 110 років з дня народження Самчука на державному рівні.

Але... відзначення вийшло *«неповним»*. На той час обов'язкове вивчення творчості письменника було вилучено з програми. Самчука так і не повернули в шкільний *«літературний канон»*.

Чому і як вилучили його з цього *«канону»*? Сталося це у 2012 році за часів президентства Віктора Януковича, коли міністром освіти і науки був Дмитро Табачник. Цей умілий адміністратор уміло працював на розбудову *«руського мира»*. За його керівництва міністерством відбувалися зміни змісту деяких навчальних дисциплін, зокрема української літератури. Низка авторів та їхніх творів, які відігравали помітну роль у формуванні української національної свідомості, зникли зі шкільних програм. Зник також Самчук і його роман *«Марія»*. Щоправда, його твори рекомендували для позакласного читання.

ЧИ ПОТРІБНО САМЧУКА ВИВЧАТИ В ШКОЛІ?

На жаль, після Революції гідності Міністерство освіти і науки не звернуло увагу на це питання. Хоча й говорилося про необхідність зміни змісту освіти, проте ні до Самчука, ні до інших письменників справа не дійшла. Не можна сказати, що громадськість мовчала в той час. Було звернення до міністерства з цього приводу від Літературного музею Уласа Самчука в Рівному. Відповідь чиновників була *«цікавою»*. Мовляв, твори Самчука можуть погано впливати на учнів — передусім у плані психічному. Мався на увазі роман *«Марія»*.

Звісно, це не найкращий твір Самчука. Є набагато сильніші його твори. Самчуку чи не найкраще вдавалися мемуари або твори, де він описував власний життєвий досвід. Як на мене, то одним із кращих серед них є повість «П'ять по дванадцятій», де розповідається про останні дні нацистської Німеччини. Попри трагічність ситуації, коли героїв щохвилини чекала смерть, твір життєстверджуючий і оптимістичний. Проводиться думка, що навіть у такий час треба не виживати, а жити. Герой, зокрема, їде до Веймара, щоб побачити місця, де жив великий Йоганн Вольфганг Гете. Є й тут чудові міркування про європейські цивілізаційні цінності, їхню невідповідність орієнтирам більшовицької Росії. Якщо ми хочемо, щоб наші діти приймали такі цінності, то їм аж ніяк не зайве прочитати повість «П'ять по дванадцятій».

Останнім часом все частіше звучить вимога повернути творчість Самчука для обов'язкового вивчення в школах. Із такою вимогою 30 серпня цього року звернулися депутати Рівненської обласної ради. Окрім того, Рівненська організація Національної спілки письменників України 5 вересня провела у Рівному біля пам'ятника Самчука мирне зібрання, де теж звучала ця вимога.

Чи прислухається до цих вимог оновлене Міністерство освіти і науки? Чи справа колишнього міністра Табачника і далі житиме й перемагатиме?

Петро Крालюк

— проректор Острозької академії

Думки, висловлені в рубриці «Точка зору», передають погляди самих авторів і не конче відображають позицію Радіо Свобода.



Pisarz Ulas Sameczuk w młodości

Fot. <https://www.museumlit.org.ua/>

Петро Кралюк — український філософ, письменник, публіцист. Доктор філософії, заслужений діяч науки і техніки України, професор Національного університету «Острозька академія».

Джерело:

Радіо Свобода //

<https://www.radiosvoboda.org/a/30152420.html>



Punkt widzenia - Точка бачення

НА РІВНЕНЩИНІ ПІДГОТУВАЛИ ЗВЕРНЕННЯ ДО ГРИНЕВИЧ З ВИМОГОЮ ПОВЕРНУТИ ДО ШКІЛЬНОЇ ПРОГРАМИ ТВОРИ САМЧУКА

Рівненська обласна рада на сесії 30 серпня [2019 р.] звернеться до міністерки освіти і науки Лілії Гриневич. Пані Гриневич депутати прохатимуть включити до програми вивчення української літератури у школах твори Уласа Самчука.

Проект звернення підготувала голова гуманітарної комісії облради та директорка обласного інституту післядипломної педагогічної освіти Алла Черній.

У проєкті звернення йдеться:

«Культурологічний аспект є одним з найважливіших у процесі гуманізації та гуманітаризації освіти.

Сьогодні культура, неухильно переміщаючись в центр соціального життя, розглядається як первинне в системі характеристик сучасної людини. Вона виступає, з одного боку, ефективним чинником творення і вдосконалення нашого багатогранного світу, а з іншого – пробуджує в людині особистість, тобто є інструментом її самопізнання і самозміни.

Серед традиційних шкільних предметів, які відіграють найважливішу роль у формуванні свідомості підростаючої людини, її «вживанні» в культуру, одне з провідних місць посідає мистецтво слова – література.

Література як навчальний предмет має в цьому плані широкі можливості.

Художні твори містять у собі певний культурний компонент, а часом і цілий пласт, що дозволяє залучити учнів до матеріальних і духовних реалій української і світової культури.

Особливу увагу варто приділити національно-культурному компоненту, який забезпечує занурення учнів у пласти духовної культури народу, знайомить з особливостями національного бачення світу і його ключовими цінностями.

З огляду на це, Рівненська обласна рада просить включити до програми вивчення української літератури у закладах середньої освіти творчий спадок видатного українського письменника Уласа Самчука.

Такий крок дозволить зберегти історичну пам'ять про страшний для України роки – 1932-1933, коли лютував голод, штучно влаштований з метою винищення носії української ментальності, волелюбного духу».

Зазначимо, що Улас Самчук народився у Дермані Здолбунівського району у 1905 році. Помер та похований письменник у Торонто (Канада).

Найвідоміші твори Уласа Самчука – «Марія» та «Волинь». Раніше їх вивчали у школах, проте згодом зі шкільної програми вилучили.

Джерело: „Рівне вечірне”
22.08.2019 11:49

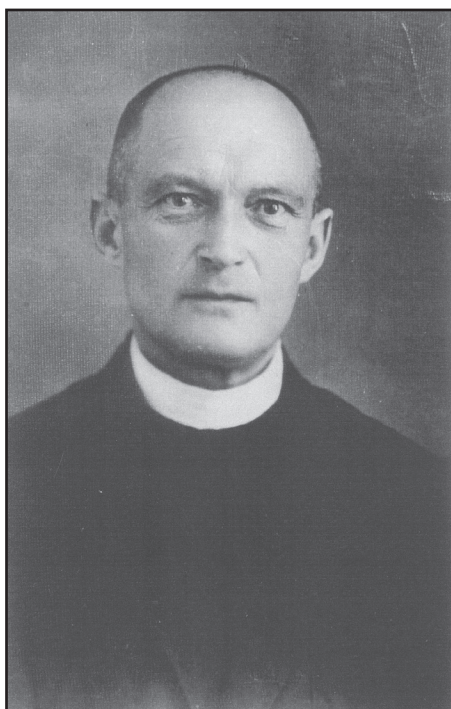
Trzy lata temu - Три роки тому

BŁ. WŁADYSŁAW BUKOWIŃSKI. POLSKI KSIĄDZ W HEROICZNEJ WALCE Z ATEISTYCZNYMI PUSTYNIAMI ZSRR

Polski duchowny dokonał rzeczy nie-możliwej. Był czynnym kapłanem i apo-stołem w państwie zwalczającym religię, w jego oddalonej od Europy części, zamieszkałej głównie przez muzułmanów i prawosławnych.

Pochodzący z Berdyczowa ksiądz (1904-1974), który na początku lat trzydziestych XX wieku obejmował pierwszą parafię w małopolskiej Rabce, w miejscowości zamieszkałej przez niemal sto procent praktykujących katolików, nie przypuszczał, iż niedługo Opatrzność rzuci go aż **do Kazachstanu i pustynnych ziem Azji Środkowej**, wchodzących wówczas w skład ZSRR. Na tereny, gdzie liturgia mszy świętej i sakramenty nie były codziennym i wrośniętym w życie doświadczeniem, ale odległym i przez wiele lata niezrealizowanym marzeniem garstki polskich i europejskich zesłańców.

Zarówno w stalinowskich łagrach, jak i w czasach antyreligijnych prześladowań ks. Bukowiński pozostał przykładem kapłana wiernego sakramentalnemu powołaniu do zbawiania dusz. Na pustyni – nie tylko geograficznej, ale również i przede wszystkim – pustyni ducha, na której **codziennie przekonywano ludzi, że Boga nie ma**, tym bardziej, że nie widzieli go nawet radzieccy kosmonauci, niewielkiej garstce wiernych pokazywał swoim przykładem, że Bóg żyje.



Bł. ks. Władysław Bukowiński

*Fot. udostępniona przez
Księżę Marianów z Karagandy*

Gdzie? W swoim prześladowanym Kościele, objawia się **w cudzie niedzielnej liturgii odprawianej tajnie na stepie i w prywatnych mieszkaniach**, w łasce miłości i przebaczenia prześladowcom, w

radosnym spotkaniu z każdym człowiekiem, niezależnie czy pełniącym funkcję partyjnego aktywisty, będącym kazachskim muzułmaninem, ukraińskim greko-katolikiem czy rosyjskim prawosławnym.

W OKU ATEISTYCZNEGO CYKLONU

Aby dobrze zrozumieć sytuację, w jakiej działał wyniesiony właśnie na ołtarze kapłan, należałoby przede wszystkim uzmysłwić sobie, że **prześladowania chrześcijan w ZSRR po rewolucji październikowej były jednym z największych cierpień, które dotknęły wszystkich wyznawców Chrystusa w historii ludzkości.**

Do momentu wybuchu II wojny światowej większościowy Kościół w ZSRR – Cerkiew prawosławna, miała tylko czterech czynnych biskupów, a **dziesiątki tysięcy duchownych zamordowano** tuż po samej rewolucji oraz w czasie tzw. anty-religijnych pięciolatek, zapoczątkowanych **wysadzeniem w powietrze Soboru Chrystusa Zbawiciela w Moskwie w 1931 roku.**



Tak samo **tragiczny los dotknął obecną na terenach ZSRR i dawnej Rosji społeczność katolicką.** Według różnych szacunków liczyła ona kilkaset tysięcy wiernych w obrządku łacińskim, bizantyjskim i ormiańskim. W jej skład wchodził **nie tylko Polacy**, ale również Litwini, Łotysze, unicy Białorusini i Ukraińcy, Ormianie, Czesi i Słowacy, Niemcy oraz stosunkowo nieliczna, aczkolwiek elitarna i wywodząca się z warstw arystokratycznych lub inteligenckich grupa rosyjskich konwertytów na katolicyzm.

POD OKIEM KGB

Na progu II wojny światowej w ZSRR **nie działał czynnie żaden katolicki biskup**, nie istniały zgromadzenia zakonne i przytłaczająca większość parafii (w 1941 roku było ich zaledwie dziesięć na całym, ogromnym terytorium od Białorusi po Władywostok wraz z... ośmioma czynnymi kapłanami, zazwyczaj w podeszłym wieku).

Ludzie wierzący zeszli wówczas do podziemia, zarówno prawosławni, jak i katolicy spotykali się często na tajnych modlitwach w domach prywatnych i ustronnych miejscach chroniących przed wszechobecnym okiem KGB.

MÓGL WRÓCIĆ DO POLSKI. ODMÓWIŁ

NKWD **aresztowało go już w 1940 roku** w ukraińskim Łucku. Po zwolnieniu z łagru w 1954 roku ks. Władysław Bukowiński, będący przedwojennym obywatelem Polski, **nie skorzystał z możliwości repatriacji do ojczyzny** i nie oddał paszportu obywatela ZSRR. Wiedział, że **jako pasterz nie może opuścić powierzonych mu małego stada wiernych.**

Po nakazie władz wyjechał do Karagandy, gdzie otrzymał urzędowe wezwanie do podjęcia **pracy fizycznej w charak-**

terze stróża. Wyniszczony kilkunastoletnim pobytom w obozie, rozpoczął jednak tajną działalność duszpasterską, odwiedzając m.in. prawie cały obszar Kazachskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej, jak również sąsiedni Tadżykistan.

ZNOWU W WIĘZIENIU

Kolejny areszt, **trwający trzy lata, nie zламал jednak kapłana.** Wierni, których spotykał na swojej drodze, mieli możliwość przystąpienia po raz pierwszy od kilkudziesięciu lat do sakramentów.

Spowiadał w więzieniach, fabrykach, na dworcach kolejowych, a liturgię odprawiał wprost na odludnym stepie, w zaciemnionych mieszkaniach w blokach, piwnicach oraz wśród ogródków działkowych. W „tajnych” mszach ks. Bukowińskiego uczestniczyli ludzie różnych narodowości, a homilie wygłaszał najczęściej w zrozumiałym dla wszystkich wiernych języku rosyjskim.

Na początku lat siedemdziesiątych, gdy już mocno podupadł na zdrowiu, władze wyraziły zgodę na jego wyjazd do Polski. W czasie pobytów w ojczystym kraju przebywał głównie w Krakowie i okolicach, gdzie **spotykał się regularnie z kard. Karolem Wojtyłą.**

DOBROWOLNY POWRÓT NA KAZACHSKI STEP

Znów **mógł wybrać bez porównania spokojniejszą i bezproblemową emeryturę w Polsce,** wiedział jednak, że potrzebują go na dalekich, kazachskich stepach.

Większość świadków życia duchownego podkreślało, że pomimo swoich ciężkich przeżyć i represji, jakie spadały na niego przez prawie trzydzieści lat życia w ZSRR, **nigdy nie poddał się postawie nienawiści i odwetu.** Modlił się za swoich prześladowców, a nawet im nie okazywał pogardy czy niechęci. Usiłował zro-

zumieć trudne i zawile losy każdego człowieka, ludzi pozostających w różnych sytuacjach osobistych: żyjących w związkach z niekatolikami oraz niewierzącymi.

Powtarzał wszystkim, że jest tylko ewangelicznym, „nieużytecznym *slugą*” posłanym z sakramentami i słowem Bożym do wszystkich ludzi, niezależnie od ich narodowości, poglądów lub sytuacji społecznej. Dzięki jego postawie wielu tych, którzy miało okazję go spotkać, **na nowo zrozumiało wagę i znaczenie sakramentów świętych** na drodze życia religijnego i konieczności dawania nieraz cichego i mało spektakularnego, ale konsekwentnego **świadczenia wiary chrześcijańskiej w świecie wszechobecnej pogardy dla Boga,** dobra i chrystusowej miłości bliźniego.

Gdy umierał – w szpitalu w Karagandzie, w apogeum rządów Leonida Breżniewa – nie mógł przypuszczać, że po niespełna trzydziestu latach **jego grób w Karagandzie nawiedzi znajomy hierarcha z Krakowa,** który w międzyczasie został papieżem.

Lukasz Kobeszko

P.S. Do tej pory portal pl.aletea.org nie chce poprawić oczywistego błędu. Otóż Papież Jan Paweł II nie nawiedził grobu ks. Władysława Bukowińskiego w Karagandzie. W Kazachstanie był tylko w Astanie. Tak trudno zmienić efektowne, aczkolwiek pomyłkowe zakończenie artykułu?!

Źródło: <https://pl.aletea.org/2016/09/11/spowiedz-w-fabrykach-msze-na-stepie-ks-wladyslaw-bukowinski-pasterz-pustyn-zsrr/>

Data publikacji: 11 września 2016 r.

[stan z 25 września 2019 r.]



Odeszli - Відійшли

ŻEGNAJĄC PISARZA

ROMUALD WERNIK

(23 XII 1926 – 16 II 2011)

Mam zaszczyt pożegnać śp. Romualda Wernika w imieniu Stowarzyszenia Pisarzy Polskich za Granicą. Świadoma jestem, że w krótkich słowach nie łatwo jest sprostać zadaniu, zwłaszcza wtedy, gdy odchodzi nie tylko wyrazisty prozaik-powieściopisarz, świetny publicysta, cięty polemista, samodzielny redaktor, z wykształcenia – historyk sztuki, ale nade wszystko Człowiek wielkiego formatu duchowego, rzetelny patriot a i społecznik, którego życie niejednokrotnie odzierało ze złudzeń, któremu nie obce były bezmiary ludzkiej krzywdy, wyrządzonej Polsce przez komunizm, zwłaszcza naszym Rodakom, „którzy nie opuszczając Ojczyzny znaleźli się poza jej granicami”, – na obszarach sowieckich.

Jego dzieło: 15 książek, około 1300 artykułów, 20 numerów redagowanego przez siebie „Głosu Emigracji”, kwartalnika polityczno-społecznego poświęconego sprawom kresowym – wszystko to objawia i będzie objawiało przesłanie wielu doniosłych prawd. Całe Jego pisarstwo uświadamia nam, że krzywdy można przebaczać, ale nie wolno o nich zapominać, że łatwość przebaczenia rodzi łatwość przestępstwa, że myśli i pamięci nie da się ocenzurować... – Wierząc w konieczność ekspiacji – odkupienia win, naprawiania wyrządzonych szkód moralnych, fizycznych, materialnych – całe dojrzałe życie poświęcił walce o sprawiedliwość, walce z fałszowaniem prawdy o losie Polaków na Wschodzie, zwłaszcza prawdy o krwawej czystce etnicznej na Wołyniu w 1943 roku.

Nie oddzielał spraw politycznych od historycznych ani etycznych, co często czynią dzisiejsi politycy. Daleki od koniunkturalnego karierowiczostwa – zabiegał „o realną politykę wschodnią”. Nie obawiał się wkładania kija w mrowisko, gdy wymagała tego prawda i sprawiedliwość. Przez wiele lat obecny był w dyskusjach emigracyjnych, a w ostatnich czasach bardziej jest popularny w Kraju, niż w kręgach emigracji.

Niedługo cieszyliśmy się Jego członkostwem w Stowarzyszeniu Pisarzy Polskich za Granicą. Na zawsze pozostanie w naszej pamięci jako Człowiek o wyjątkowych zdolnościach pisarskich i niezwykle prawej pasji dyktowanej etosem Kresowianka: przywiązaniem do ziemi rodzinnej, wyostrożoną świadomością narodową, obroną przed rusyfikacją i eksterminacją, niezłomną wolą przetrwania w polskości. – Będzie żył w pełnych trudnej historii – ale i pięknego świata – książkach, którymi nas obdarował.

Niech „Miłość, co wprawia w ruch słońce i gwiazdy” [Dante, „Boska Komedia”, „Raj”], niech Pan nasz, który „Kształtem jest Miłości” [Norwid w odniesieniu do „Piękna”] przyjmie Go do swego Królestwa!

Alina Siomkajło

Przemówienie wygłoszone podczas żałobnej Mszy św. w londyńskim kościele garnizonowym pw. św. Andrzeja Boboli w dniu 3 marca 2011 r. – w dniu pogrzebu śp. Romualda Wernika.



Tożsamość - Тотожність

НАРІД ЧИ ЧЕРНЬ?

При першому погляді на дійсність це питання не дає нам покою. Воно вривається в нашу свідомість, воно переслідує нас вдома, на вулиці, в установі, на базарі, у трамваї... На кожному кроці наших трагічних буднів у першу чергу бачимо чорним по білому писане: Хто ми? Нарід чи чернь? Нація чи маса?... Організована, свідома, вигранена збірна одиниця чи юрба без'язиких і безликих постатей? І дати на це одразу, без вагань, виразну відповідь ми тоді вагаємось.

Чому? Бо ми не переконані внутрішньо, що весь той людський матеріал, який заповнює будинки і вулиці наших міст, вповні і незастережно заслуговує на назву нарід. Бачимо явища, бачимо обличчя, чуємо мову, оцінюємо вчинки і з потрясаючим душу жалем стверджуємо, що величезна маса живих людиноподібних істот 1941 року по народженні Христа не розуміє і не усвідомлює в собі двох дуже важливих і основних первнів (елементів): людську гідність і національну свідомість. Що це таке людська гідність? Чи це щось подібне на мішок картоплі, чи на порвані чоботи? Не всім ясно. Що таке – національна свідомість і для чого її можна практично вжити? Також не кожному вміщується в голові.

При певних обставинах нам було б це абсолютно байдуже. Це явище не нове. Воно вже з прадавна існує на нашій планеті. Є людські громади, які живуть споконвіку своїм первісним життям. Є суспільність, що складається з раси кулі. Лотів чи чорношкірих рабів. І нам, європейцям, це явище

свідчить лише про те, що ні на одну хвилину ми не бажали б опинитися в стані тих виставлених на поталу випадковості людських істот. Наша душа приготовлена для сприйняття лише таких суспільних форм, у яких може вільно діяти і розвиватися наша людська гідність.

Почувати себе людиною, почувати себе тим, як ще колись казали, першим творінням Найбільшого Творця, почувати себе свідомим у всіх своїх вчинках та поступованнях – ось основна заповідь людини-європейця. Зламати цю заповідь – значить зламати самих себе, це значить втратити основний стрижень буття, це значить перекреслити своє моральне обличчя.

Большевізм багато говорив про свідомість. Але його свідомість зводилась не до людської свідомості, а, як тоді говорилося, до свідомості класової, чи соціальної. А це є далеко не те саме. Основою життя є не клас, а людина. Той чи інший поділ людей не повинен заміняти основного. Не важно, до якого класу належить порядна творча свідома людина. Важно, щоб вона такою була. Бо коли привілейований той чи інший клас складається з юрби бандитів чи людського шумовиння, то будь він тричі пролетарський чи буржуазний – він сам по собі не має найменшої вартості. Не в пролетаріаті і не в буржуазії справа. А в людині. І тільки в людині.

Подібне явище помічаємо щодо національної свідомості. Багатьом ця справа видається туманною. Що за національна свідомість? Чи це, скажемо,

те саме, що мішок картоплі? І їсти того не можна, і діди наші цілком вільно жили, будучи національними туманами, то чому ж не можемо лишитись і ми такими? Не торкати національної свідомості, не відшліфовувати себе, бути національною протоплазмою – ось ідеал національно несвідомого осібняка.

Поганий, фальшивий, розрахований на самознищення ідеал. Хто цього не розуміє, той насамперед засуджує себе на небуття. Національна свідомість – це перша передумова широкої свідомості і творчої чинності взагалі. Без цієї передумови немислима ніяка велика творчість. Денаціоналізація – це те саме, що коли б хтось порядну з моральними основами жінку силою зводив до ролі повії. Денаціоналізована людина не може бути сильною, не може мати міцного морального хребта, не може бути повним характером.

І найбільшим нещастям українського народу було те, що ціла його історія – перманентне намагання когось зробити з нас не те, чим призначила нас природа. Втручалися до нашої рідної мови. Втручалися до нашого побуту. Втручалися до нашого господарства. Всяка влада, яка тільки не була на нашій землі, – російська чи польська, нічим іншим не займалася, а лиш доводила нам, що ми – не ми, а щось інше. Це було постійне ламання нас, нищення нас. І тоді ніде інде, лише у наших містах, наших селах, наших школах, наших родин, нам залазили в саму душу, плювали там на все, що є для нас святого, не давали змоги боронитися. Останні роки панування большевизму особливо яскраво довели нам, що значить таке втручання. Навіть ті чи інші літери казали нам вимовляти так, як хочуть вони. Диктували нам

наше відношення до чужого, до того, що нам вороже.

Наслідки з усього цього на сьогодні такі, що величезна частина нашого, особливо міського, населення з національного погляду являє собою не що інше, як юрбу, що не належить ні до якого народу, що не має нічого святого, що не говорить ні одною мовою. Це не є нарід. Це – чернь, це-безлика, без'язика юрба. Особливо це стосується до нашої молоді, яка з національного погляду – саме велике порожнє місце. Соромно, боляче і огидно бачити таке явище на європейському суходолі, на берегах Дніпра, на вулицях Києва 1941 року!

Це – боляче ранило наше людське самолюбство. Це принижує нас в очах свідомих чужинців. Це, нарешті, відбирає у нас безліч творчої активності й енергії. Це явище – перше і основне зло, яке треба вирвати з коренем! Тому – не все одно, хто як говорить, яким богам молиться, які книжки читає. Не все одно, якими іменами названі вулиці наших міст, не все одно, чи домінуючим є для нас Шевченко, чи Пушкін. Не все одно, як це часто доводиться чути, кого ми вчимо у школі, не все одно, яке наше відношення до російської літератури. Ні! Це не все одно... А коли – все одно, то це значить, що все одно для вас, хто є ми самі! Це значить, що ми не нарід, не якась спільна історична збірна сила, а невиразна юрба, сіра маса, вічно принижена без всяких ідеалів чернь.

Улас Самчук

1941



Dziedzictwo - Спадщина

Adolf BOCHEŃSKI

AKTUALNOŚĆ

IDEI JAGIELLOŃSKIEJ [1937] [1]

MODA NA IDEE

Bardzo modne jest obecnie poszukiwanie rozmaitych idei dla naszej polityki zagranicznej. Zapomina się przy tym niekiedy, że takie idee nie zawsze były zbyt pożyteczne dla państw, które je głosiły. Pomijając już nieszczęśliwe skutki idei samostanowienia narodów dla Francji Napoleona III, twierdząc stanowczo, że ZSRR więcej traci, jak zyskuje przez łączenie się z komunizmem. Nic niewątpliwie nie zraża tak całego szeregu państw do Rosji sowieckiej jak jej marnota komunistyczna. Również – wbrew pozorom – „*idee*” hitleryzmu są dla Niemiec na zewnątrz bardziej szkodliwe jak pożyteczne. Jeżeli pozycja ideologiczna Niemiec na terenie Europy jest dziś niewątpliwie silna, to nie dzieje się tak bynajmniej z powodu pozytywnego programu rasistowskiego, ale z powodu jeszcze większej niechęci powszechnie odczuwanej do idei komunistycznej. Ostrożnie więc z wprzęganiem polskiej racji stanu w usługę idei uniwersalnych.

Nie będę się tu zajmować pomysłami szerzonymi przez prasę młodoendeczką, a poświęconymi tworzeniu przez Polskę „*bloku idei katolickiej*”. Pomysły te uważam za wiatrologię. Ostatecznie nic mi one nie przeszkadzają – podobnie jak pomysł, aby blok państw „*od Kłajpedy do Aten*” bronił nas przed Niemcami i Rosją. Powtarzam jednak, że nie sądzę, aby warto było się nimi zajmować. Co to jest „*polityczna idea katolicka*”? Doskonałym ka-

tolikiem może być zwolennik parlamentaryzmu, monarchii absolutnej, dyktatury wojskowej i faszyzmu. Jezuici w Paragwaju zaprowadzili nawet ustrój... kolektywistyczny. Gdy mówimy, że będziemy organizowali „*blok katolicki*”, musimy najpierw postanowić, którą z tych odmian katolickiego programu politycznego weźmiemy za podstawę. Nie możemy również zapominać, że wśród państw, które mają należeć do tego „*imperium środka*”, jedne tylko Węgry są katolickie i to jakoś dziwnie dobrze na wewnątrz sobie dają radę bez tego imperium i bez bloku od Aten do Kłajpedy.

Idea jagiellońska to oczywiście zupełnie co innego. Wyznają ją i przyznają się do niej tak wybitni publicyści, jak St. Mackiewicz i Wł. Bączkowski [2]. Wyznają ją, choć się do niej nie przyznają, St. Piasecki, nawet p. Gluźński, nawet J. Giertych częściowo [3]. Nazwiska te stanowią same już tak pokaźny poczet, tradycja jagiellońska jest tak piękna i duża, że warto znaczenie tej idei dla polskiej racji stanu wszechstronnie zbadać.

Każda idea odnosząca się do polityki zagranicznej ma dwa pola działania. Jednym jest oddziaływanie na zewnątrz kraju, [drugim] galwanizowanie mas narodowych, uświadamianie im pewnych zasadniczych prawd politycznych w estetycznej formie. Otóż poniżej postaramy się kolejno omówić te dwa rodzaje oddziaływania idei jagiellońskiej.



NOŻYCE IDEI JAGIELLOŃSKIEJ

Ideę jagiellońską przeciwstawia się zwykle idei piastowskiej – jak gdyby Piastowie kiedykolwiek zajmowali się mniejszościami narodowymi. Niemniej oznacza to liberalizm w przeciwstawieniu do „*polityki silnej ręki*”. Zwolennicy idei jagiellońskiej uważają się raczej za przyjaciół naszych mniejszości narodowych i w ogóle mniejszych narodów Europy Wschodniej. Pragnęliby oni drogą tych samych metod liberalnych co niegdyś dojść do spolszczenia nowych mas ludności na naszej wschodniej granicy.

I tu właśnie otwierają się te nożyce polityczne, charakterystyczne dla całej idei jagiellońskiej. Polacy, którzy ją wysuwają, uważają się za przyjaciół mniejszych narodów Europy Wschodniej i sądzą, że zrobią im przyjemność przebakując o Jagiellonach. Jednocześnie jednak ta sama idea jagiellońska jest dla tych małych narodów największym straszakiem i symbolem najbardziej agresywnego imperializmu polskiego. Kto nie wierzy, niech zapozna się wśród Ukraińców z twórczością tak reprezentatywnych pisarzy, jak Władysław Lipiński, Dymitr Doncow czy Wasyl Kuczabski [4]. Niech stwierdzi, jak do polskiej koncepcji jagiellońskiej odnoszą się sami Litwini; tworzą się w ten sposób nożyce między rozumieniem przez nas naszej idei a przyjmowaniem jej przez tych, do których się ona kieruje. Wyjaśnienie tego trudnego na pozór do zrozumienia fenomenu może nam przynieść tylko badanie wspomnień, jakie okres jagielloński pozostawił u zainteresowanych. Pojęcie idei jagiellońskiej łączy się bowiem nieodwołalnie z dziejami Rzeczypospolitej Polskiej w okresie jagiellońskim. W przeciwnym razie traci bowiem w ogóle wszelki sens. Oczywiście nie może tu chodzić o szczegóły, lecz o rzeczy najistotniejsze. Musimy też uczynić pewien

wysiłek, aby zapoznać się z tymi cechami najistotniejszymi, jeżeli nawet nie takimi, jakie naprawdę były – to w każdym razie takimi, jakie pozostały we wspomnieniach Polaków, Litwinów i Ukraińców.

Jeżeli chodzi o Polskę, to przede wszystkim stwierdzić trzeba, że idea jagiellońska dała nam wyniki nadzwyczajne, wbrew woli ówczesnych generacji naszego narodu. Jeżeli bowiem jako istotę okresu jagiellońskiego określimy spolszczenie wyższych warstw ludności kresowej, dzięki liberalnej polityce narodowościowej Polski, to zrozumiemy, że liberalizm ten nie zawsze był zgodny z wolą kierowniczej warstwy polskiej w owym czasie. Wręcz odwrotnie, był on właściwie narzucony przez dynastię jagiellońską, po bardzo ciężkich walkach staczanych z najbardziej kwalifikowanymi reprezentantami opinii polskiej. Chodzi nam tu oczywiście o liberalizm w sensie czysto narodowościowym. Inna rzecz, że i Jagiellonami kierował wtedy nie tyle patriotyzm, ile interes dynastyczny, który wymagał odrębności dziedzicznej Litwy, w przeciwieństwie do elekcyjnej Korony. Niemniej jednak oni byli głównymi promotorami tego prawie bezbolesnego zasymilowania szlachty litewskiej, które nastąpiło może właśnie głównie dlatego, że miała ona swą nienaruszoną niepodległość państwową. Moźnowładcy polscy – przy całym swym niewątpliwym patriotyzmie – nie zdawali sobie sprawy z trudno dostrzegalnego, ale niemniej ciągle postępującego naprzód procesu asymilacji szlachty litewskiej. Korzyści dla Polski poszukiwali też nie tyle w asymilacji narodowej, ile w ścisłym związaniu prawo-państwowym obu krajów. Gdyby moźnowładztwo polskie zrealizowało istotnie swój inkorporacyjny program w stosunku do Litwy, wywołałoby to prawdopodobnie tak silną reakcję, iż asymilacja w

ogóle nie byłaby nastąpiła, tak natomiast nastąpił proces niespodziewany przez samych jego autorów. Profesor Dąbrowski podkreśla, iż unia horodelska, która wedle jego koncepcji była wielkim ustępstwem na rzecz autonomii państwowej Litwy ze strony polskiej, była jednocześnie ogromnym krokiem naprzód, o ile chodzi o asymilację narodu litewskiego.

Tak więc kierowcy stosunków polsko-litewskich w epoce jagiellońskiej sami nie wiedzieli, dokąd zdążają. Naprawdę ściśle zespolenie psychiczne Litwy i Polski zostało umożliwione szeregiem ustępstw prawnopolitycznych, które rzekomo miały prowadzić w kierunku wręcz odwrotnym. Litwini i Rusini nie zdawali sobie wtedy także sprawy, dokąd zmierzają, nie zdawali sobie sprawy, że idą w kierunku zupełnej zatraty swej świadomości narodowej. Dziś jednak już tak nie jest.

Dziś już nie tylko co wybitniejsi publicyści polscy zdają sobie sprawę, że właśnie liberalna polityka okresu jagiellońskiego prowadziła do asymilacji narodowej. Zdają sobie z tego sprawę i ci, którzy byli tej polityki niegdyś obiektem, tzn. Litwini i Rusini. I ta właśnie okoliczność niesłuchanie osłabia możliwość wysuwania wspomnień jagiellońskich i możliwość powtórzenia tego okresu jako czynnika mającego wiązać ze sobą te trzy narody.

Miraż historii jest tu tak silny, że daje natchnienie myśli, która według zdrowego sensu wydaje się zupełnie bezsensowna. To, co teraz napiszemy, może posłużyć jako argument dla szowinistów ukraińskich. Nie sądzimy jednak, aby należało naśladować Mikołaja Radziwiłła Rudego, który doradzał brać z sobą w podróż dwie sakwy: jedną sakwę z prawdą i drugą sakwę z kłamstwem... W stosunku do narodów wchodzących niegdyś w skład imperium jagiellońskiego mamy dziś w Polsce dwie szkoły i obie są asymilacyjne. Róż-

nią się tym, że jedna chce asymilować a la Henryk Lew i Albrecht Niedźwiedź, druga raczej metodami Zygmunta Augusta.

To „piastowsko-asymilacyjne” i „jagiellońsko-asymilacyjne” źródło natchnień całej prawie naszej publicystyki wywiera niewątpliwy wpływ na nastawienia litewskie i mniejszościowe. Nasuwa się tu analogia z nieprzytomną gloryfikacją „działalności niepodległościowej”, która powoduje niewątpliwie ogromną radykalizację mniejszości ukraińskiej. Zaprowadzenie sprawiedliwej oceny dorobku różnych stronnictw polskich w XIX wieku byłoby ważnym przyczynkiem do działania uspokajająco na młodą generację mniejszościową. Partyjne cele, które każą denigrować działalność naszych stronnictw prawicowych w XIX wieku, działają też zgubnie na walkę czynników umiarkowanych i skrajnie separatystycznych w łonie naszych mniejszości. Podobnie ujemny wpływ wywiera hipertrofia asymilacjonizmu i jagiellonizmu. Doprowadza ona narody już dziś zupełnie solidne i nie potrzebujące obawiać się jakiegokolwiek asymilacji do maniakkiego wprost zainteresowania tym zagadnieniem. W ten sposób powstaje poczucie jakiegoś zupełnie urojonego niebezpieczeństwa zagrażającego tym narodom ze strony ekspansji polskości asymilacyjnej. Trudno dość silnie podkreślić, do jakiego stopnia to urojenie ujemnie wpływa na możliwość zgodnego współżycia tych narodów. Ale przejdźmy do wspomnień historycznych, które epoka jagiellońska pozostawiła u Litwinów.

JAGIELLONOWIE I LITWINI

W wielkim sporze, który przeciwstawia dziś Ludwika Kolankowskiego i uczonych krakowskich odnośnie do interpretacji wczesnego okresu jagiellońskiego, krakowski profesor Jan Dąbrowski [5]

zdaje się zdradzać więcej zrozumienia dla litewskich interesów narodowych. Chodzi tu o pytanie, czy istniała jakaś litewska polityka separatystyczno-narodowa Witolda, czy też była ona tylko wyrazem dążenia Jagielly do zapewnienia swej dynastii tronu dziedzicznego. L. Kolankowski przyjmuje, że skutki unii z Polską były dla Litwy bez reszty dodatnie, ze względu na zabezpieczenie jej przed ekspansją kultury ruskiej, przed Krzyżakami itd. Przypomina to pogląd prawicowego historyka czeskiego Pekarza, [6] że bitwa pod Białą Górą była korzystna... dla Czech, gdyż ochroniła je przed wpływem niemieckiej kultury protestanckiej, a dała przewagę katolickim czynnikom włosko-hiszpańskim. Nie możemy zapominać jednak, że jeżeli związek z Polską rzeczywiście przyczynił się do obrony całości terytorialnej wielkiego księstwa – to jednak ugodził Litwinów w punkt najczulszy każdego narodu. Zagroził on bowiem istnieniu w ogóle jakiegokolwiek litewskiej odrębności narodowej. Oczywiście nie należy przesadzać – jak to się u nas często robi – szybkości procesu asymilacji narodowej szlachty litewskiej. Jest pewne, że prądy separatystyczne nie ustały właściwie prawie że ani na chwilę aż do upadku Rzeczypospolitej. Takie powiedzenie Janusza Radziwiłła – ojca Sienkiewiczowskiego Bogusława: „*Przyjdzie dzień, gdy Polacy drzwiami nie wejdą, a oknem ich wyrzucić będziemy*”, taka akcja synowa jego, także Janusza, w czasie Potopu, stosunek Wiśniowieckiego i Ogińskiego do Piotra Wielkiego i wreszcie chociażby konfederacja litewska z 1792 r. to tylko kilka na chybił trafił wybranych przykładów ciągle tlejącego separatyzmu litewskiego. Niemniej z początkiem XIX wieku naród litewski był pozbawiony przez Polskę całej swej elity społecznej, wprost zagrożony w swym istnieniu.

Zastanówmy się teraz na chwilę, czy może być dla narodu wspomnienie bardziej bolesne, jak właśnie wspomnienie tej powolnej utraty świadomości narodowej u Litwinów w ciągu okresu jagiellońskiego i pojagiellońskiego. Częstując ich Jagiellonami popełniamy nietakt, uderzamy w punkt, który jest dla nich najboleśniejszy, najbardziej drażliwy. Właśnie wspomnienie jagiellońskie jest głównym powodem niemożliwości uregulowania stosunków polsko-litewskich. Ten nierealny wobec małego, ale dzielnego narodu majak asymilacyjny nabiera tu cech nawet wprost koszmarnych i ciąży nad teraźniejszością przez siłę i wyrazistość swego kształtu dziejowego. Usuńmy Jagiellonów w niepowrotną przeszłość. Uznajmy tamten eksperyment za skończony, a niewątpliwie ułatwimy sobie porozumienie z Litwinami.

JAGIELLONOWIE I RUŚ

Jeszcze gorzej przedstawia się sprawa z Ukraincami. Jeżeli Litwini zostali zasymilowani, to stało się to prawie bez zgrzytów. Odebrawszy im świadomość narodową, pozostawiliśmy im przynajmniej tradycję państwową. Rusi idea jagiellońska nie pozostawiła ani cienia odrębności państwowej. L. Kolankowski twierdzi nawet, iż głównym dziełem Jagiellonów było scentralizowanie wielkiego księstwa litewskiego w rękach wielkiego księcia. Oznaczało to w praktyce likwidację autonomii ruskiej istniejącej poprzez niezliczone księstwa, ostateczną likwidację „*stariny*”. Metoda liberalna, zastosowana w stosunku do Rusi w całej pełni dopiero w ugodzie hadziackiej, tragiczny swój epilog znalazła kilka lat później w rozstrzelaniu przez wojsko polskie partnera naszego w tej umowie – hetmana Jana Wyhowskiego. Ekspansja polskości na Ukrainę nie była tak pokojowa

jak na Litwę. Pomijając już sprawę unii i walk, które dookoła niej się zrodziły, sam proces szlacheckiego osadnictwa polskiego na Podolu połączony był z całą litanią gwałtów, które głęboko zapadły w dusze Ukraińców. Wiaczesław Lipiński [7] w swej mistrzowskiej biografii Stanisława Krzyczewskiego uwidatnił tę stronę stosunków polsko-ukraińskich. O ile „*idea jagiellońska*” w oczach Litwinów posiada przede wszystkim charakter przyjaźni, która kończy się pochłonięciem narodu, o tyle w oczach ukraińskich nabiera ona wprost cech rozboju. Takie też ujęcie idei jagiellońskiej jest dominujące we współczesnej publicystyce ukraińskiej. Pomijam tu drażliwą sprawę, czy twierdzenia Ukraińców są słuszne, czy też kłamliwe. Chodzi tylko o zapoznanie czytelnika polskiego z reakcjami ościennych narodów na hasło idei jagiellońskiej. Z reakcjami, jakie są – nie zaś, jakie powinny być.

Jeżeliby ktoś chciał krótko i dobitnie odmalować stosunek Ukraińców do naszej idei jagiellońskiej, to najlepiej do tego nadawałaby się następująca anegdota francuska. Ludwik Filip, przemawiając na zebraniu chłopów w Normandii, zakończył swą mowę gromkim okrzykiem: „*Je veux votre bien*”. Na to jeden z włościan odmruknął półgłosem: „*Tu ne l'auras pas*”. [8] Mówiąc o idei jagiellońskiej, chcemy okazać Ukraińcom – życzliwość, chcemy ich dobra. Ale oni to dobro rozumieją bardziej przyziemnie, jako własną substancję narodową, którą znowu chcemy im zabrać.

Zupełnie natomiast odmiennie znów przedstawia się oddziaływanie słowa „*epoka jagiellońska*” i „*idea jagiellońska*” na Węgrzech i w Czechach. Tam bowiem Władysław i Ludwik Jagiellończycy pozostawili po sobie dobrze zasłużoną reputację najnieodolniejszych monarchów, jacy w ogóle kiedykolwiek w tych krajach rządzili. Et c'est beaucoup dire... [9]

WIELKA PRZESZŁOŚĆ I ŚREDNIA TERAŻNIEJSZOŚĆ

Trudno więc wyobrazić sobie frazes agitacyjny gorzej wybrany w stosunku do mniejszych narodów Europy Wschodniej, jak frazes jagielloński. Czyż może to być jednak decydującym argumentem? Jak daleko wreszcie pójdziemy w ograniczeniu naszych upodobań zależnie od zachcianek sąsiednich narodów? Już i tak wyzbyliśmy się starożytnej nazwy „Ruś” dla zupełnie coś innego w polskim języku oznaczającej „Ukrainy”. Czyż miałyby sens dla przypodobania się Ukraińcom i Litwinom znów przestać mówić o „idei jagiellońskiej”? I dlatego po zbadań kwestii, jaki wpływ wysuwanie tej idei wywiera na naszych sąsiadów, musimy zastanowić się nad jej wewnętrznym pożytkiem.

Publicyści polscy – z wyjątkiem jednego Bączkowskiego, który znacznie ewoluował od swej książki do „*Uwag o imperializmie*” – przez ideę jagiellońską rozumieją możliwość powtórzenia się procesu asymilacyjnego tamtych wieków. To jest podstawa teorii Mackiewiczza, że państwo tworzy naród, to jest właściwa istota „*obopólnej asymilacji*” Piaseckiego, to wreszcie echo rozważań Gluzińskiego czy Giertycha. Źródłem tej iluzji jest – słusznie zresztą – przeświadczenie o wyższości Polski nad innymi mniejszymi narodami Europy Wschodniej. By wykazać usterki tego sposobu myślenia, musimy tu kilka słów poświęcić tej wyższości i jej wartości asymilacyjnej.

Narody Europy Środkowej i Wschodniej nie dzielą się według grup językowych. Próby panslawizmu rozbiły się zawsze o nieodwołalną sprzeczność między psychiką polską i czeską, a bliskość między psychiką polską a węgierską. Linia podziału biegnie według formacji historycznej. Z jednej strony te narody, któ-

re utraciły swą elitę społeczną i polityczną od XV do XVIII wieku. Z drugiej znów te, które tę elitę swym sąsiadom odebrały i zasymilowały ze sobą, utrata własnej elity społecznej pociągnęła dla całego szeregu narodów skutki o nieobliczalnej wprost doniosłości. Łączyły się one zawsze z utratą państwowości, a co za tym idzie i z brakiem tradycji wojskowych. Z drugiej strony przez brak szlachty i jej specyficznej kultury narody te uzyskiwały większy rozmach w dziedzinie gospodarczej i pod tym względem osiągnęły wyniki zwykle znacznie przewyższające osiągnięcia narodów imperialistycznych. Ta pozbawiona warstwy arystokratycznej „*Europa B*” czuła pewną niższość w stosunku do dawniejszych pogromców. Na tym tle kompleksy brały u niej górę też zwykle prądy społeczne lewicowe. Naród polski w ten sposób zabrał elitę Litwinom, Rusinom i Białorusinom, naród węgierski Słowakom, Chorwatom i częściowo Rumunom, naród niemiecki Czechom i narodom nadbałtyckim.

Polska warstwa rządząca podobnie jak węgierska wchłonęła w siebie mnóstwo elementów należących do narodów ościennych. Wśród ośmiu polskich rodów magnackich mamy aż cztery litewskie lub ruskie. Są to: Czartoryscy, Radziwiłłowie, Sapiehowie i Sanguszkowie. O. Forst Battaglia [10] obliczył, że w 32 herbowym wywodzie genealogicznym Jana Sobieskiego znajduje się aż 8 rodzin pochodzenia ruskiego i 3 niemieckiego. Ten sam zupełnie objaw napotykamy na Węgrzech. O Macieju Korwinie twierdzi nawet dzisiejszy historyk czeski, że był prekursorem małej Ententy. Ojciec jego był bowiem Rumunem, matka – z domu hr. Szilagyi – Chorwatką, żona zaś Czeską, córką Jirzika z Podiebradu a Kunstatu. Jest zresztą rzeczą ogólnie znaną, że najsłynniejsze rody węgierskie, wszyscy ci

wielcy Zapolye, Zriny, Frangepani, Homonay i tyle innych p to byli z pochodzenia Rumuni, Chorwaci lub Słowacy. I Moglibyśmy długo snuć rozważania na temat skutków, tych procesów asymilacyjnych dla narodów zdobywczych i narodów asymilowanych. Na razie interesuje nas jednak tylko wpływ ich stosunków na stosunek państwa do mniejszości narodowych w naszej połaci Europy. Pod tym też kątem widzenia zamierzamy ten problem rozpatrywać.

W okresie, w którym nastąpiła wyżej wspomniana asymilacja, szlachta stanowiła jedyną naprawdę aktywną warstwę narodu. Odebranie narodowi szlachty wykreślało go właściwie z listy żyjących politycznie. Stąd unarodowi, które innym szlachtę zabrały, wyrobiło się przeświadczenie, że te inne narody właściwie w ogóle nie istnieją i że pojawienie się ich na arenie dziejowej jest jakimś przykrym nieporozumieniem. Prawdziwe tradycje tych narodów miały być tam, gdzie znajdowała się ich szlachta. Tradycje Litwinów i Rusinów w historii polskiej; Słowaków w historii węgierskiej. Pragę wielu historyków niemieckich uważa za miasto właściwie niemieckie. Z drugiej strony wielowiekowe przyzwyczajenie do spotykania pewnych narodów tylko wśród niższych warstw społeczeństwa wyrobiło głębokie przeświadczenie o ich niższości, a własnej wyższości, tak samo przejawiające się na przykład w naszym ustosunkowaniu się do Ukraińców. Na tle tych dwu przeświadczeń wyrasta też iluzja ponownej asymilacji względnie nadzieja na powtórzenie procesu jagiellońskiego.

HISTORIA NIE STOI W MIEJSCU

Tymczasem jednak historia w żaden sposób nie chce stać w miejscu. Warstwy zasymilowane od dawna straciły monopol na kierowanie narodami. Obok nich,

a często ponad nie, wybiły się warstwy inne, nowe, warstwy inteligencji miejskiej i dorobkiewiczów gospodarczych. Narody, które utraciły w poprzednich wiekach równowagę, w całości lub prawie w całości odzyskały ją w naszej epoce. Dały dowody, że mogą istnieć nie tylko bez warstw zasymilowanych, ale nawet przeciw nim. A tymczasem wśród narodów niegdyś zdobywczych ciągle tli się przeświadczenie o nieistnieniu sąsiadów i o możliwości odrobienia tego przypadkowego rzekomo procesu, którym było ich przebudzenie narodowe.

Dziś jednak twierdzenie, że prawdziwi Litwini to są zasymilowani przez Polskę dawni szlachcice litewscy, zakrawa na dobry dowcip. Podobnie przedstawia się sprawa z rzekomo państwową tradycją Ukrainy, którą ma być tradycja polska itp. A we wszystkich narodach tego typu znajdujemy podobne przykłady. Pewną dla nich wyrozumiałość dyktuje fakt, że przebudzenie się tych narodów zakończyło się właściwie dopiero w okresie wojny światowej. Przecież niedawno jeszcze – w 80 latach polityką czeską kierowali zgermanizowani Clam-Martiniści, Thuny itd., a do dum rosyjskich przed samą wojną chłopci białoruscy wybierali panów polskich. Dziś jednak to wszystko jest skończone, bezpowrotnie skończone. Odebrawszy tym narodom ich szlachtę w poprzednich wiekach, staliśmy się narodem wyższym od nich, bardziej niewątpliwie pańskim. Ale nie zyskaliśmy żadnych atutów do przeprowadzenia na nowo tej asymilacji narodowej. Twierdzę, że posługiwanie się terminem „*idea jagiellońska*” ożywia i odnawia nadzieje na powtórzenie tych procesów, które we własnym interesie powinniśmy jako zupełne mrzonki czym prędzej zlikwidować. Wł. Bączkowskiemu, jednemu z najzdrowiej myślących i najlepiej znających to zagadnie-

nie publicystów, zarzucam, że przez ciągłe używanie terminu „*idea jagiellońska*” wprowadza swych czytelników w stan zamieszania.

Nareszcie zapomnijmy o możliwościach asymilowania sąsiadujących z nami narodów. Żadna mądra idea, choćby układała ją dziesięciu Piaseckich i Wasiutyńskich, nie potrafi dziś spolszczyć tych narodów, które już raz o mało nie zostały spolszczone i mają się na baczności. Zrozumiemy, że ani Litwini, ani Ukraińcy, ani Białorusini nie mają najmniejszej ochoty zostać Polakami – i uszanujemy tę ich wolę...

Nie tyle potrzeba nam idei do asymilowania, ile zdrowego programu politycznego. Rozpisanie konkursu na „ideę” w ślad za konkursem Akademii Literatury na hymn narodowy pozostawiamy lepszym czasom. Jeżeli mamy mieć jakąś ideę na zewnątrz, to niech będzie to idea nienarzucania nikomu żadnych idei, lecz pozostawienia narodom pełnej możliwości urządzenia sobie samemu własnego życia narodowego. Głęboka zasada: „*Nic o nich bez nich*”, wraz ze zrozumieniem, że w interesie Polski jest powstanie w naszym pobliżu maksymalnej ilości organizmów państwowych, powinna być tu wytyczną. Nie ma nic wspólnego pomiędzy ofensywą polityczną a narzucaniem innym narodom własnych koncepcji kulturalnych. Im mniej będziemy zaborczy kulturalnie, tym większe będą możliwości realizacji naszych celów politycznych.

Ich wzajemne antagonizmy osłabiłyby niewątpliwie ostrze imperializmów godzących dziś w granice Rzeczypospolitej Polskiej. Tylko przez pełną realizację zasady: „*Nic o nich bez nich*”, możemy właściwie dojść do spokojnej realizacji naszego naczelnego hasła: „*Nic o nas bez nas*”. Dążenie natomiast do zapanowania nad sąsiednimi narodami i narzucania im ja-

kiejś asymilacji, drogą ad hoc tworzonych „idei” czy nawet starej i szacownej idei jagiellońskiej, to czynienie z nas marnej karykatury imperializmu rosyjskiego i niemieckiego, i niesłychane ułatwianie roboty tym państwom.

«*Tu regere imperio populus romanus memento parcere subiectos et debellare superbos*» [11].

Adolf Maria Bocheński

Przypisy:

Źródło: AKTUALNOŚĆ IDEI JAGIELLOŃSKIEJ. Pierwodruk: „Bunt Młodych” z 25 stycznia 1937. Adolf Bocheński, „*Historia i polityka. Wybór publicystyki*”, wybrał i opracował i przedmową poprzedził Marcin Król, PIW Warszawa 1989, s. 56-69. Za: <http://freepi.info/1032-aktualnosc-idei-jagiellonskie-rok-19371>

Włodzimierz Bączkowski – publicysta, w latach 1932-1938 redaktor „Biuletynu Polsko-Ukraińskiego”, zwolennik idei prometejskiej, po II wojnie światowej na emigracji.

Tadeusz Głuziński (1888-1940), pseudonim Henryk Rolicki – prawnik, publicysta, polityk obozu narodowodemokratycznego. Od 1934 r. członek Obozu Narodowo-Radykalnego, w latach 1937-1938 redaktor tygodnika „ABC”.

Wiaczesław Lipiński (1882-1931) – wybitny ukraiński historyk, publicysta i polityk. Był zwolennikiem monarchizmu oraz dostosowania systemu rządów w przyszłej niepodległej Ukrainie do specyficznych ukraińskich tradycji. Dmytro Doncow (ur. 1883) – publicysta i krytyk ukraiński. Przeszedł ewolucję od socjalizmu do ukraińskiego nacjonalizmu. Od 1922 r. mieszkał i publikował we Lwowie.

Wasył Kuczabski (ur. 1895) – historyk i publicysta ukraiński o poglądach prawicowych.

Jan Konstanty Dąbrowski (1890-1965) – historyk mediewista, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Ludwik Kolankowski (1882-1956) – historyk, profesor Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie, autor *Polska Jagiellonów*. Dzieje polityczne, Lwów 1936.

Josef Pekarz (1870-1937) – wybitny narodowy historyk czeski, rektor Uniwersytetu w Pradze, autor monumentalnych dzieł dotyczących historii Czech.

Wiaczesław Lipiński, „*Stanisław Michal Krzyżewski. Z dziejów walki szlachty ukraińskiej w szeregach powstańczych pod wodzą Bohdana Chmielnickiego*”, Kraków 1912.

„*Chcę waszego dobra*”... „*Nie dostaniesz go*”.

A to za wiele...

Otto Forst de Battaglia (1889-1965) – wybitny historyk austriacki, specjalista od genealogii i heraldyki.

«*Ty, który władnie kierujesz ludem rzymskim, pamiętaj oszczędzać ujarzmionych i gromić pysznych*».

Powyższy tekst zaczerpnięto ze strony:

<https://zapisz.blog/2015/08/25/adolf-bochenski-aktualnosc-idei-jagiellonskiej-1937/>



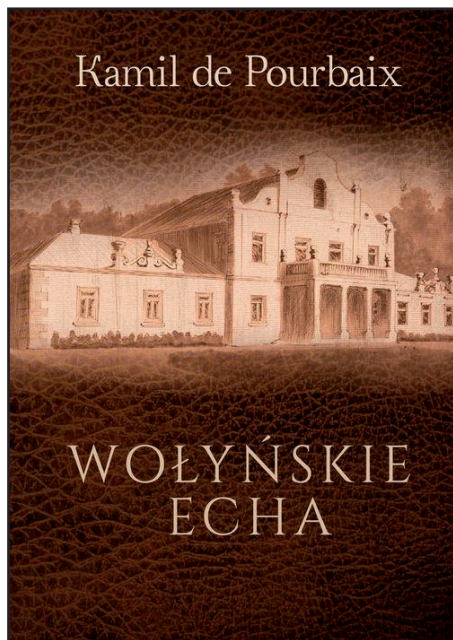
Wołynianie - Волиняни

KAMIL DE POURBAIX – ZAPOMNIANY PATRIOTA Z WOŁYNIA

Pochodził z bogatej belgijskiej rodziny. Jego pradziadek René de Pourbaix brał udział w wyprawie Napoleona na Rosję, dziadek ze strony matki, Kamil de Ravaux był współwłaścicielem jednej z miejscowych kopalń, a ojciec August dyrektorem belgijskiego banku, ale on ukończył Polskę, a szczególnie Wołyń. Z polską żoną Marią hr. Miączyńską spłodził, wychował i wykształcił dla nowej ojczyzny dziesięcioro dzieci!

Przyszedł na świat w belgijskim Binche dnia 27 października 1873 roku, z ojca Augusta de Pourbaix i matki Irmy de Ravaux. W 1880 roku państwo Pourbaix z trójką dzieci, dwiema córkami oraz synem przenieśli się do kupionego na Wołyniu majątku Horodec. Po trzynastu latach Kamil przejął od ojca administrowanie majątkiem, rozbudował rodzinną posiadłość, wprowadził w gospodarce wiele korzystnych zmian, zbudował tartaki i gorzelnię. W pamiątkach napisał potem, że w Horodcu zakochał się od pierwszego wejrzenia.

W kresowe sfery ziemiańskie weszły też obie jego siostry; Augusta została żoną Walentego Skarbka-Kruszewskiego, a Małgorzata Renée wyszła za mąż za Władysława Ignacego ks. Giedroycia. Kamil de Pourbaix jako bogaty ziemianin zaczął natomiast karierę polityczną. Był m.in. radnym gubernialnym z powiatu łuckiego i członkiem Zarządu Towarzystwa Rolnego i Syndykatu w Łucku. Dzięki temu mógł działać społecznie na rzecz polskości na Wołyniu, zwłaszcza że uważał się za Polaka, za co władze carskie nie chciały mu przez wiele lat dać rosyjskiego obywatelstwa. Był też aż do wybuchu I wojny światowej działa-



czem Związku Ziemian Kresowych i okręgowym sędzią przysięgłym w Żytomierzu.

10 czerwca 1910 roku ożenił się we Lwowie z 24-letnią Marią hr. Miączyńską h. Suchekomnaty, córką Antoniego hr. Miączyńskiego i Julii Trzeciak. Ślubu udzielił im biskup lwowski Józef Bilczewski. Małżonka Kamila pochodziła ze znamienitego magnackiego rodu, a do wspólnego majątku wniosła m.in. posiadłość Włodzimierzec w pow. Sarny.

I wojna światowa przewalająca się przez Wołyń zniszczyła w znacznym stopniu horodeckie gospodarstwo. Do tych nieszczęść doszła śmierć seniora rodu Augusta de Pourbaix, a Kamil prześladowa-

ny przez Rosjan za pomoc polskim legionistom został zesłany na Syberię.

Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości wrócił na Wołyń, uzyskał polskie obywatelstwo i rzucił się od razu w wir pracy społecznej dla nowej ojczyzny, z którą się całkowicie utożsamiał. W 1919 roku został starostą łuckim, a potem prezesem Związku Ziemiaków w Sarnach. Od 1922 roku pełnił funkcję radnego powiatu sarnieńskiego, bo był jednym z inicjatorów jego utworzenia. Prowadził też wzorowo swoje gospodarstwo, a jego majątek, jeden z największych przed wojną na Wołyniu – około 7850 ha, należał do najlepiej zarządzanych na kresach.

Za pracę na rzecz ojczyzny został Kamil de Pourbaix odznaczony w 1929 roku przez Prezydenta RP Ignacego Mościckiego Orderem Odrodzenia Polski „Polonia Restituta”. Cztery lata później za działalność na rzecz kościoła otrzymał od Piusa XI tytuł papieskiego szambelana.

Nie zaniedbywał przy tym obowiązków rodzinnych. Państwo Pourbaix mieli aż dziesięcioro dzieci – dwie córki Anę-Marię i Zofię oraz ośmiu synów – Kazimierza-Józefa, Zdzisława, Kazimierza, Franciszka, Antoniego, Ryszarda, Stanisława i Mariana. Aż pięcioro z nich zostało odznaczonych orderem *Virtuti Militari* za udział w II wojnie światowej. Najstarszy syn Kazimierz-Józef zginął 1 września 1939 roku w bitwie pancernej pod Mokrą niedaleko Częstochowy dowodząc I plut. III bat. 2 Dyw. Art. Konnej. Młodszy Zdzisław był w tym samym dywizjonie dowódcą II plutonu i brał udział w pochówku brata na cmentarzu w pobliskim Miedźnie.

Rodzina de Pourbaix wyjechała z Wołynia szczęśliwie przed wejściem tam sowiektów i zamieszkała czasowo w Warszawie. Po ich ucieczce majątek splądrowano i rozgrabiono, a pałac podczas działań wojennych zniszczono i rozebrano. Wycięto też piękny stary park otaczający posiadłość i dochodzący aż do rzeki Horyń niszcząc kaplicę i rodzinny grobowiec,

w którym oprócz zmarłego w 1916 roku Augusta, złożono prochy jego żony Army, która odeszła w 1927 roku.

Zdzisława, który przeżył kampanię wrześniową, jako żołnierza AK rozstrzelali w Warszawie Niemcy. Starsza córka Anna-Maria, z męża Zakrzewska została zamordowana przez NKWD w Charkowie. Z kolei młodszy synowie – Kazimierz, Franciszek i Antoni walczyli mężnie w powstaniu warszawskim, a córka Zofia, która z rodzicami przeniosła się wtedy do Szczawnicy, prowadziła wraz z matką punkt przerzutowy dla Armii Krajowej prowadzący na Węgry.

Tam, w willi „Sobieski”, Kamil de Pourbaix, zmęczony aktywną pracą i schorowany, spędził ostatnie miesiące i dni swojego życia. Zmarł 14 listopada 1944 roku i został pochowany na miejscowym cmentarzu. Po wojnie złożono do tej mogiły zmarłą 16 marca 1956 roku jego żonę Marię de Pourbaix hr. Miączyńską, a potem jednego z ich synów, zmarłego w 2005 roku Kazimierza. Willa „Sobieski” w Szczawnicy już nie istnieje, a na jej miejscu stoi dziś apartamentowiec o tej samej nazwie.

W kraju i za granicą żyją potomkowie Kamila de Pourbaix pracując dalej dla Polski, ojczyzny którą sobie upodobał ich przodek. Niech to skromne ad memoriam w 70. rocznicę śmierci zapomnianego patrioty z Wołynia uświadomi nam fakt, jak doniosłą rolę w dziejach Rzeczypospolitej odgrywali często tzw. „pożyteczni cudzoziemcy” i jakże uboga byłaby bez ich dorobku nasza dzisiejsza ojczyzna.

Andrzej Sznajder

Źródło: «Kurier Galicyjski» nr 2 (222) z 30 stycznia – 16 lutego 2015 roku. // <https://www.kuriergalicyjski.com/historia/postacie/109-p/4027-kamil-de-pourbaix>



Literatura - Airepatypa

Józef Ignacy KRASZEWSKI
NOCLEG W BOREMLU

W r. 18 ... sprawa pewna zmusiła mnie udać się do Boremla. Mie miałem potrzeby bawić tam długo – ale zanocować stało się koniecznością, bo i konie moje były zmęczone, i ciemna noc jesienna nazad się puszczać do Gródka nie dozwalała.

Majątność ta, po Czackich, naówczas była wydzierzawioną przyjacielowi ojca mojego, p. Platonowi R.

Rozmówiwszy się z umocowanym jego, spełniwszy o co mnie zobowiązano, musiałem w końcu pomyśleć o noclegu.

Konie moje przyjęto na folwark, ja zaś, nie chcąc zawadzać nikomu, chciałem sobie szukać gospody w miasteczku, gdy rządca się odezwał:

– Jeżeli to panu przykrem nie będzie, to możnaby przenocować w pałacu. Zniszczony wprawdzie bardzo i do dziś dnia pozostał w takim stanie, jak był po wojnie – ale na piętrze jest pokój zamczysty, z oknem i s kominem. Można zapalić na kominie, a znajdzie się na czym posłać...

– Mieszka kto w pałacu – zapytałem.

– Nie, cały pustką stoi, na dole są składy, a niedaleko na folwarku ludzie. Bezpieczeństwo zupełne, Służący mógłby spać w przedpokoju.

– Służącego muszę, niepewnym będąc furmana, zostawić przy koniach i bryczce, ale dla czegożbym, choć i sam nie mógł nocy przepędzić w pustce?

Chodźmy się rozpatrzyć.

Pospieżyliśmy do pałacu, aby go obejrzeć nim się zciemni.

Gmach wielki, okazały, zbudowany w stylu XVIII wieku, tak aby pańsko wyglądał – stał po wojnie i bitwie, która

się tu odbyła – istnym trupem zastygłym. Wydawał się jak żołnierz zabity w szeregach ściśniętych, który nie żyje, a paść nie może.

Zaraz w ganku kolumny były od kul potrzaskane, a na murach pozostały ich ślady. Z pod tynku obnażone cegły, wyglądały czerwono jak krwawe rany. Na dole znaczniejsza część okien pozabijana była deskami.

Toż samo zniszczenie, do którego może po wojnie przyczynili się i mieszkańcy, którzy w pierwszej chwili z beapańskiej siedziby korzystali, dawało się widzieć w ogromnej sieni, której posadzki były w części podruzgotane, częścią wydarto. Schody jednak, wiodące na piętro, pozostały prawie całe.

Kurz tylko i gruz leżały na nich wszędzie, a gdzie padła kropla wody, zieleniały jakieś roślinki blade.

Dzw, jedne z dawnych czasów, malowane i złocone, poodrywane i zczerniałe – drugie, z desek nie heblowanych pozbijane i na proste kłódki pozamykane, prowadziły do pokoi. I tu gdzieniegdzie poszczerbione były kulami mury.

Wchodziliśmy na pierwsze piętro. Tu pustka na tle szczątków wspaniałości dawnej, wydawała się jeszcze może straszniejszą. Przeznaczenie ogromnych pokoi dawało się rozpoznać i odgadować.

Ze sprzętów w nich mało co pozostało, oprócz łomu, który nie miał wartości żadnej. Okruchy jednak mówiły wiele.

Wiedeński fortepian Streichera bez klawiatury, bez strun, bez nogi, leżał wywrócony w jednym pokoju...

Ze starej arfy w kącie zostały zczerniałe ramy złożone. Na ścianach wisiały jeszcze portrety na pół zdarte z ram, z powykałaniami oczyma i pomazanymi twarzami. Ta i owdzie wałało się krzesło bez nóg, resztką stolika ozdobnego, pudełka porozbijane, skrzynki bez wiek.

Jeden pokój cały był pełen grubo nasłanej, startej i pomiętej słomy, przykrytej pyłem jak wszystko, ale z pod niego można było w czarnych plamach, które mi ją niegdyś zbaczono, rozpoznać – domysłu się krwi... Leżeli tu niegdyś ranni.

Po podłogach wszędzie prawie rozsypanych było mnóstwo podartych, pomiętych papierów. Schyliłem się ku nim z ciekawością...

Były to rejestra jakieś, rachunki, kartki z książek drukowanych w XVIII w., naostatek ułamki mnogich listów. Wszystko to nie zdawało się wcale stare. Wiadomo tym co z rękopismami miewali do czynienia, że wprawne oko łatwo rozpoznać może z papieru, atramentu, fizyognomii i charakteru ogólnego pisma – do jakiego wieku się ono odnosi.

Rękopis XVI w. jest jeszcze kaligrafowany starannie, czysto, wyraźnie... W końcu XVII, psuje się charakter ręki, razem z narodowym charakterem, w XVIII, druk, papier i pisanie obrzydliwe.

Szczątki, na które natrafiłem po podłogach, nie sięgały wszystkie nad koniec XVIII w. i nie miały żadnej wartości – robiły tylko wrażenie smutne...

Jeden szczególniej pokój całą kupę zmiecionych papierów zawierał, a rządcą mnie zapewniał, że daleko więcej już ich popalono.

Były to jednak szczątki życia, a na niektórych z listów dźwięczało ono tak silnie, jakby jeszcze nie przebrzmiało.

Obejrzawszy niemal całe pierwsze piętro, dostałem się na koniec do pokoju, który mi był na nocleg przeznaczony. Wi-

dać było, że już ktoś przedemną musiał tu przebywać, bo i okno znalazłem całe i tarczan z nogami w komplecie i jeden prosty stółek, mogący spełniać funkcję stołika, czasu noclegu. Zapewniano mnie, że komin nie dymi – a na nim leżało jeszcze kilka niedopalonych główki.

Na jedną noc, w naszym kraju, więcej nad to wymagać nie godziło się.

Zgodziłem się na ten nocleg z wdzięcznością i wyszliśmy rozporządzić, aby mój tłumok zniesiono, a na kominie, dla oczyszczenia trochę zatęchłego powietrza ogień rozpalono.

Zciemniało się tymczasem, – mówiliśmy o boremskiej bitwie i podaniach, jakie się na miejscu o niej utrzymały, a w niespełną godzinę, rządcą mnie odprowadził na nocleg. Zastałem tu ogień, służącego, świecę – łóżko posłane, i zaleciwszy aby mnie obudzono rano, zabrałem się do wieczornego czytania.

Jesienna noc, spokojna, czarną była i chmurna. W pustym pałacu panowała cisza, którą tylko lekkie trzaskanie ognia przerywało.

Z pół godziny upłynęło tak – bez żadnej przeszkody i zatopiłem się w książce, czekając godziny, w którejbym mógł zasnąć. Zdaje się jednak, że na godzinę snu czekały inne istoty, mające większe prawo gospodarowania w tej pustce nade mnie.

W sąsiednich pokojach, zrazu dla mnie zupełnie niezrozumiały łoskot się dał słyszeć – i nie mogę się pochwalić tem, żeby mnie nie nastraszył. Musiałem się rozsluchać i rozmyśleć, aby przyjść do przekonania, że szczury i nietoperze, może nawet sowy, którym tu nikt nie przeszkadzał, rozpoczynały harce swe nocne.

Nie było to przyjemnem, gdyż nader fantastycznie wrzawa nagle dawała się słyszeć gwałtowna i równie niespodzianie ucichała. Latanie nietoperzów można

było rozpoznać, równie jak tłumne bieganie szczurów. W opróżnionych salach hałas ten rozlegał się echem wielkim i niekiedy stawał się drażniącym. Sen był problematyczny – a sąsiedztwo głodnych szczurów, które śpiących a bezbronych nosów szanować nie zwykły – kazało się mieć na ostrożności.

Nocleg miał fantastyczną stronę, był oryginalny niezaprzeczenie – lecz zaczynałem żałować że prozaiczniej się nie umieścił w gospodzie żydowskiej. Teraz było już po czasie. Ażeby się służącego dowołać, potrzeba było zejść na dół i szukać w podwórzu nie wiadomej mi zresztą stajni.

Rezygnacja pozostawała jedna. Spójrzałem na drewna, czy dokładając na kominie dociągnę ze światłem do rana, na świecę, która była też środkiem onieśmiania przeciw szczurom i czytałem dalej.

Wśród tej ciszy nocnej uroczystej – nagle wybuchy – wydawały się nadzwyczaj dziwnie. Czasami poczynął je szelest nieznaczny, jakby dane hasło... wrzawa zrywała się, roila i przenosiła do dalszych sal, to bliżej mnie, to dalej – aż w końcu ustawała.

Oprócz znajomego mi pisku szczurów, głosów innych rozeznąć nie mogłem, choć rozmaitość ruchów i uderzanie o sufity zdradzało nietoperze.

Zdaje się że przez szpary drzwi wciśkające się do pokoju obok, światło od mego komina, ptactwo nocne musiało ścigać.

Zegarek nie wskazywał więcej nad jedenastą, a że dzień w jesieni nie mógł przyjść jak około szóstej, miałem więc przed sobą siedem godzin, albo bezsenności lub snu bardzo przerywanego.

Książka i świeca nie mogły starczyć nad parę godzin w najszcześliwszym razie. Potrzeba więc było przedsięwziąć środki ostrożności przeciwko ciemności,

która mogła mnie zdać na łaską szczurów. Wstałem przyłożyć na kominie i zgasiłem świecę, wyrzekając się czytania. Miałem dosyć do myślenia.

Ze wszystkim się można obyć – i ja w końcu z położeniem mojem obyłem się do tego, że fajkę zapaliwszy i przypatrując się kominowi, zadumał o czym innym. Szczury tymczasem i spadkobiercy ludzi w tej ruinie, – poruszali się bardzo żywo. Zdawało się, że dla nich noc musiała być chwilą jakichś najważniejszych czynności. W ruchach czuć było pośpiechu gorączkowego.

Znużenie podróży – podziało nareszcie o tyle, że mi się na sen zbierać zaczęło. Na nieszczęście sen mam lekki i najmniejszy szelest mnie przebudza. Zaledwie zamknąwszy oczy... poczynając drzeć, budziłem się i porywałem.

Trzeba było świecę zapalić znowu i próbować czytania. Jakis czas upłynął z książką w rękę. Znudziłem się w końcu i rzuciwszy ją powtórnie, szukałem w myśli sposobu polepszenia mojego położenia.

Nie wiem jak nastroczyło mi się szukać rozrywki w przetrząsaniu papierów, których kupę ogromną pokazał mi rządca w sąsiednim pokoju. Wprawdzie próbki ich, które miałem w rękę nie były zachęcające – ale lepsze to niż takie nocne nudy i sen przerywany. Pokój, jak mi się zdawało, miał okno zabite, towarzystwa więc nietoperzów, obawiać się nie potrzebowałem – a szczury świeca odpędzała.

Wstałem, wpadłszy na tę myśl i wdziawszy szlafrok ruszyłem ku drzwiom, od których klucz był z mojej strony. Wchodząc uczułem, że mi coś po nogach się przesunęło – i domyśliłem się spłoszonych podedrzwiami szczurów lub łasic – gdyż myszy nigdy się ze starszyzną pod jednym dachem znajdować nie zwykły. Umieściwszy światło na złamanym stołku rozpocząłem prawdziwie rozpaczliwe po-

szukiwanie! Regestra ekonomiczne i kwity, palety, urzędowe rozporządzenia – listy z których kropli życia wycisnąć było nie podobna.

Zniecierpliwiony, z rozmaitych stron zanurzałem ręce w tych śmieciach – zawsze w nadziei, że na jakąś żyłkę złotą natrafię. Przerzuciłem kupę prawie do dna, gdy nareszcie na parę starszych zapisanych kartek natrafił.

I to była cała zdobycz moja.

Kilka stronic żółkłych, pomiętych, podługowatych, wypełzłym atramentem pisanych widocznie już w XVII wieku, miały tytuł u góry.

Kopia listu olim JMP. Bernarda Kurzańskiego do pana Jerzego Strus’a, starosty braclawskiego etc.

Dalej szło co następuje:

Laudetur Jesus Christus.

Mnie wielce miłościwy panie Starosto dobrodzieju.

Przez JMP. Chorążego braclawskiego wiadomość mnie doszła, iż dotąd w łaskawej pamięci zachowujesz sługę swego, za co niech Bóg stokrotnie nagrodzi. Powiadał Chorąży, iż o mnie wspomniawszy a niewdzięcznym zowąc, wyraziłeś się żem jak w wodę padł. A no – prawdziwe to są słowa, padłem w wodę, ale święconą. Więc gdy widzę, iż losy moje, jeszcze starostę obchodzą, longe et late rozpisać się muszę, co mnie do wody w którą padłem, doprowadziło. Raz jeszcze wszystkie te pogrzebione już wspomnienia, dobyć muszę, abym to co mnie spotkało wytłumaczył, a okazał, iż inaczej postąpić anim mógł, ani się godziło.

Chociażśmy wojowali razem i szczęście mnie to spotkało, żem obok onych wiekopomnej sławy dwu Strusów, polskich bohaterów szedł przeciw poganom, choć w pochodzie i pod namiotami nie jeden raz noc spędziliśmy rozpowiadając sobie przygody nasze; niewiem czym kie-

dy o mojej rodzinie więcej co nad to mówił Staroście, iż kilku nas było braci.

Z nich najmłodszym sługa wasz, może, dla tego Benjaminem był u matki swej, niewiasty cnoty i pobożności takiej, iż ci co ją znali, prawie za ubłogosławioną za życia mieli. Kochała ona wszystkie swe dzieci prawdziwie macierzyńskim sercem, a mnie ostatniego swego sierotę, któremu w niemowlęctwie ojca zabrakło, może goręcej niż starszych braci, żem był słabowity i wyraźnym cudem łaski Bożej od śmierci ocalony.

Mieszkali rodzice moi nie opodal ode Lwowa, w majątności Kurzawie, z dawna do nas należącej, równie jak Wysokie, z którego się też niektórzy pisali, – klejnotem naszym był i jest Odrowąż, jako też prawem Odrowążami byliśmy. Ponieważ ojca nieboszczyka często bardzo sprawy jego do Lwowa powoływały, gdzieśmy własny dworek mieli, matka, jako była o wszystko troskliwą i zabiegliwą, a nabożeństwa też chciwą, – z Kurzawy do Lwowa często przejeżdżała do ojca. Drogi me były dobre, a i bryki jejmość nie chciała zażywać ciężkiej, ale parą końmi, wózkiem prostym puszczała się, na niewygody wcale nie zważając. Tak i w kilka miesięcy po Grodzieńskim, sama ru nie karmiąc jeszcze, wraz ze mną, wybrała się dnia jednego, chcąc pośpieszyć, gdyż w liście ostatnim ojciec się na chorobę uskarżał, która go wkrótce do grobu doprowadziła.

Później opowiadała matka moja, iż w drodze tej, wóz nagle tak niebezpiecznie się przechylił, że dziecię, które trzymała na ręku, wysliznęło się, padło pod koła i w oczach jej przejechane zostało.

Z krzykiem poskoczyła za mną matka, z pod kół wyrwawszy i na ziemi klękawszy łzami mnie oblewała. Zdawało się, że ratunku żadnego nie było. Naówczas święta niewiasta w duchu panu Bogu

ślub uczyniła, że gdyby mi życie powrócił, jemu mnie w zakonie św. Franciszka poświęcić miała.

Natychmiast przytuliła mnie do piersi, którą ssać zacząłem. Nadzieja wstąpiła w serce. Dojechalśmy do Lwowa, gdzie, gdy prawie bez szwanku do zdrowia przyszedł, niemal za cud ocalenie moje poczytywano. Matka zaś o uczynionym ślubie zawczasu nie rozpowiadała, naprzód tylko nabożeństwo dziękczynne przed ołtarzem Franciszka św. zamówiwszy, do którego zawsze szczególną dewocję miała.

Wszystkich tych dzieciństwa mego przygód, wcale pamiętać nie mogąc, to tylko wiem, że gdy dorastać począł, ubrano mnie w habicik bernardyński i w nim chodzić musiałem, co na mnie oczy ścierało, a niebardzo miłem mi było, bo inne chłopaki z rycerska się panoszyli i przy drewnianych szabelkach, gdy ja z różańcem kokosowym u pasa czasem dziwowskiem bywałem, a niekiedy i pośmiewiskiem.

Za to płacąc pobożna matka moja, co mogła czyniła aby mi się na świecie nie przykrzyło. Wpajała to jednak powoli we mnie, że przez wdzięczność Bogu za ocalenie życia, powinienem być obrać sobie stan duchowny. Za jej staraniem też ojcowie Bernardyni i inni księża, których u nas wielu w domu bywało, starali się wpajać to we mnie, iż nie było na świecie stanu szczęśliwszego a miłszego Bogu nad duchowny, bo w nim człowiek i wolą własną i pomocą swych braci, reguły, a łaską patrona – z drogi zboczyć nie może i zbawienia pewnym jest, byle sam chciał.

Jak wszyscy w domu tak też i ja byłem pobożnym zawsze, po matcem to wziął, gorącym sercem modliłem się z nią razem – nie przeciwiałem się temu żeby do zakonu nie miał iść, ale – co prawda – rycerska sprawa, koń, szabla, widok zbroi do szaleństwa mnie prawie poruszały.

Bywało gdyśmy we Lwowie mieszkali, a przeciągały chorągwie – żadna siła ludzka utrzymać mnie w domu nie mogła.

Trafiło się jakoś, że powinowały nasz pan Melchior z Kalinowej Kalinowski przybył, we Lwowie odpoczywając między jedną wyprawą a drugą, odwiedzić matkę moją. Cioteczny pono był jejmości. Ten zobaczywszy mnie w habiciku, przy różańcu, gdy po dziedzińcu drewnianą szabelkę sobie wystrugawszy za jędykami się pędzał, począł matce mojej pół żartem czynić wyrzuty, że mi nawet dzieciństwa i młodości jak uależy, swobodnie użyć nie daje.

– Chcesz go asindzka mnichem postrzydz – nikt nie broni, jeśli powołanie się w nim okaże – ale nie pora tego Izaaka zarzynać, gdy mu czas jeszcze wyswywolić się i pośmiać. Tem ci bardziej gdy habit ma wdziać, niech świata zakosztuje, aby czuł, iż Bogu czyni ofiarę, dosyć na to będzie czasu!

Polubił mnie Kalinowski i ulitował się nademną. Bóg jeden wie jak mu byłem wdzięczny. Zdaje się, że i spowiednik matki mojej przeciwko pofolgowaniu mi nic nie miał, jam też macierz obsedował i prosił.

Słowem zdjęto mi w siedmiu leciech habit, i począłem nosić się, uczyć a żyć jako drudzy rówieśnicy moi.

Tu, jakby na przekorę powołaniu, – na próbę i pokusę krew taka zagrała we mnie do rycerskiego rzemiosła, że w końcu niepoczciwie i grzesznie z domu matki się wykradł, i pod imieniem Wysockiego wpisałem się jako prosty towarzysz pod Chorągiew p. Jana Sieniawskiego.

Dopiero gdy się to już stało, zgryzota sumienia dokazała tego że mój zbieg do Kurzawy matkę przeprosić, i u nóg jej leżąc, błagać aby mi też zażyć dozwoliła tego er. ojcowie moi.

Trzeba było znać tę świętą zaprawdę niewiastę, a najlepszą z matek, aby wyobrazić sobie co ona z mej przyczyny naówczas ucierpiała, i jak jej serce między miłością Bożą i wdzięcznością dla niego, a przywiązaniem dla syna, rozdarte było na poły.

– Bernardzie mój – rzekła płacząc i ręce załamując – pomnij to jedno tylko, że gdy mi Bóg ciebie pocił, jam się ślubem związała że ty jego służbie się poświęcisz. Nie czyni że mnie wiarołomną, gdyż w tym na drugim świecie, brzemień na duszy mej ciężać będzie.

Idź i wój, abyś tę krew gorąco ochłodził, i ostygł – lecz niezapominaj nigdy, żeś moim ślubem związany.

Tak mnie ta boleść macierzyńska przejęła, a skruczę miałem tak wielką, żeś leż najlepszej mojej dobrodziejki stał się przyczyną – iż może byłbym wyrzekł się służby – ale słowo dałem, stawić się było potrzeba. Naówczas matka serdeczna, me chcąc abym jak jaki sierota i przybłęda służbę pełnił, dała mi na to abym się na sześć koni mógł zapisać.

O tej służbie dziś powiedzieć tyle mogę, że pierwszą była, a choć wiele znośnić przyszło i od ludzi i od niewygód, i w boju od nieprzyjaciela, słodkiem to było pożądaniem.

Dwa razy ranny, raz o włos nie dostawszy się do niewoli, gdy mi i konie wyzdychały, bo je strzechami karmić przyszło, a błotem poić – powróciłem do domu renomą dobrą, ale chudy i zbiedzony.

Ale ma to do siebie nałóg wszelki, rycerskiego nie wyjmując, że się smaku nabiera do tego co najdrożej się opłaciło. Ledwie odpocząwszy, wylizawszy się i odkarmiwszy, już bym był szedł... gdy matka ciężko zachorowała.

Ja tylko i brat mój Mikołaj byliśmy naówczas w Kurzawie, gdy przygotowana

od dawna do śmierci, z takim spokojem i duszną radością, wyglądała jej na łożu choroby, jakby na gody wielkie iść miała.

Kłęczeliśmy z p. Mikołajem, u nóg jej dzień i noc. Ostatniego dnia, gdy już sobie nietylko dobę, ale godzinę, za łaską Bożą, przepowiedziała, podczas gdy Mikołaja wywołano, kazała mi się przybliżyć do siebie, i objawszy stygnącymi rękami, zaczęła szeptać.

– Bernardku mój – ślub matki dotrzymaj – pomnij! Żałować tego nie będziesz.

Było to ostatnie słowo jej do mnie, które głęboko w duszy utkwilo.

Na pogrzeb jakoś przybył Kalinowski, któremu on smutny zwierzył się z tej ostatniej prośby nieboszczki mej drogiej.

Lekko to sobie jakoś ważył – a w to bił, że pan Bóg ofiary przymusowej nie potrzebuje, – a matki za moją winę przecież karać nie będzie.

Mnie się też koń i zbroiczka tak uśmiechały, żeś oprzeć się nie mógł powtórnie pokusie, i do p. Sieniawskiego jechałem, który do swojej rotty ochotnie mnie przyjął.

Wypraw ja tych staroście opisywać nie potrzebuję, bo w których niebyliście sami z bratem, znacie je tak dobrze jak ja com z niemi chodził.

Z p. Sieniawskim naówczas wiodło się nam na kresach pomyślnie, alem ja raz z gorączki wielkiej na małym podjeździe, zapędziwszy się, o mało w niewolę tatarską się nie dostał; i strzałą, szczęściem nie zatrutą, szpetnie byłem ranny. Mieliliśmy zaś w obozie ludzco na wszelakie rany sposoby i zioła znali, i taki mnie znachor, rusin salwował, że mimo gorączki rana się nie rozogniła, alem w nędznej chacie przeleżeć musiał niedziel parę. Czasu tego, nocy jednej, gdym spał, wyraźnie mi się ukazała nieboszczka matka moja, szła posmutna ku mnie, z rękami złamanymi – i stanąwszy u łoża, płakała.

Widziałem jak jej srebrne dwa strumienie łez ciekły z oczów, ciekły i aż na ziemię spadały. Nie mówiła nic, ale te źrenice płaczące jako miecze wraziły się w duszę moją. Aż w końcu odezwała się słodkim głosem swym, który mi się zdał naówczas jakby jeszcze śliczniejszym i śpiewnym.

– Synu mój. – Cierpliw Bóg, przestrzeżę cię. Dałeś słowo matce... dotrzymaj je... przemóż pokusę światową...

Gdy to rzekła obraz jej powoli blednieć i rozpląwać się zaczął – aż zniknął, a ja nazajutrz wstałem poruszony bardzo i niespokojny.

Tymczasem rana się zgoiła – i mój ten sen, co mnie zrazu tak niepokoił, powoli się w pamięci zacierać zaczął, a tu wojna rwała ku sobie, i koń rżał jakby siadać na się kazał. Konie zaś od dzieciństwa tak miłowałem, że mi – grzech powiedzieć dziś – nieraz od ludzi milszemi byli.

Rzekłem więc sobie. Sen mara, pan Bóg wiara, i tylko do Kamieńca posłałem na dziesięcioro mszy za duszę matki.

A tu już przychodzi ów rok, którego bym ja, wam panie Starosto, dla tej bohaterskiej śmierci brata jego, a którego zgon cała Polska sławiła i poetowie potomnym wiekom podali – nie rad przypominał. Byliście i wy z nami pospołu – a cudem uszliście cali.

Wiecie jako u Słobodyskiej dąbrowy, w mili od Chmielnika, rozstaliśmy się i nieboszczyk pan Stanisław ze mną poszedł przodem, gdy pan Hetman Jazłowiecki wam przy sobie pozostać kazał.

My z bohaterskim bratem waszym także nie razem staliśmy pod jedną chorągwią, gdyż on zwyczaj ten miał zawsze, iż pięćdziesiąt do sześćdziesięciu ludzi sobie dobrawszy na podjazdy się tak zuchwale zapędzał, jakby owej heroicznej śmierci szukał.

Niestety, znalazł ją też nad rzeką Rastawicą, – gdzie, uchodzić niechcąc choć

był mógł, a mnogim pogańcom przystępu do siebie nie dając, obstępiony i strzałami jako drugi Sebastian męczennik na wskroś przeszyty, życie nieśmiertelne pozyskał.

Mnie około Perepiatowych kurhanów w malej utarcze, ledwie ten sam los nie spotkał, gdyby na pomoc nie przybieżono. Sługę mojego Pobożanina obok mnie zabito, a jam ledwie obronną ręką potłuczony życie ztamtąd wyniósł.

Musiałem się potem wlec przy obozie, często na wóz się kładnąc i nie rychło do zdrowia przychodząc.

Owego czasu też sny mnie trapiły, w których, ciec już matki mej nie oglądałem, zdało mi się że głos jej słyszał, powtarzający.

– Ślub swój dotrzymaj.

Lecz jużem był tak do wojennego rzemiosła duszą i ciałem przyrósł, że mi się zdawało iż nigdy rzucić go nie potrafię.

Musiałem po tej pana Jazłowieckiego wyprawie znacznej, czasu której nieznanie nam kraje i stopy przebywaliśmy, a nad Dnieprem rzeką u onych sławnych progów obozowali – do Kurzawy do p. Miłokaja jechać, aby kościom pofolgować i do nowej się sposobić wojny.

Nie miałem na myśli wcale rzemiosła mojego porzucać – a i ludzka próżność do niego ciągnęła, bo że się w onego sławnego Strusa ocierał, na mnie też coś od niego sphywało. Ludzie nas jako pierwsze Rzeczypospolitej rycerstwo wysławiali.

Z Kurzawy jeździło się do Lwowa często – a działa się rzecz osobliwa, bo w tem miejscu, gdzie, jako mi ludzie opowiadali, z woza spadłem na ziemię dzieckiem będąc – czy konno jechałem, czy telegą – zawsze mi konie stawały. Nawet, gdy z obcemi jak się trafiało – iż w kupie będąc, gdy koń jeden drugiego do chodu animuje – mój, gdyby jaki był, musiał przystanąć zawsze i dopiero po chwili dał się ruszyć z miejsca.

Admonicja to była widoczna, lecz na upartym czleku i ta wyraźna skazówka – nie uczynić nie mogła.

Zużywałem czasu, dosyć wesoło się zabawiając, gdy dnia jednego na gospodę powróciwszy, choć byłem zupełnie zdrów przed kilku godzinami, uczulem wielką niemoc jakąś. Brzydziłem się zawsze łóżkiem, a nie rad kładłem – ale mi potrzeba było tym razem koniecznie legnąć, bo i głowa się kręciła i nóg nie czulem pod sobą.

Nazajutrz wsta; ani było myśleć.

Sprowadziłem doktora pana Helmana, który podówczas tam był za lekarstwy przybywszy. Ten opatrzył mnie, obmacał, i zawyrokował, że leżeć trzeba i spoczywać dopóki niemoc nie odejdzie. Zapisał też i dał różne leki obrzydliwe – a mnie nie tylko one się wydawały szkaradnymi, ale pokarm wszelki, napój, nawet woda czysta była wstrętliwą.

Spoczynek zaś ten miał skutek tylko, żem słabł coraz więcej.

Wychudłem strasznie.

Chociaż przyjaciele i towarzysze odwiedzali mnie często – ludzie jak pokarmy mi się przykszyli.

Zwiększał się jeszcze niepokój i gorączka tem, że drudzy na wojnę ciągnęli, przychodzili się żegnać ze mną, a ja dźwignąć się nie mogłem.

Wrócił mi sen ostrzegający znowu – ale nie był to już ten słodki głos macierzyński, napominający dziecię, ale straszny a groźny nakaz z góry.

Serce moje zaś tak zakowane jeszcze było we zbroi, a od nałogu rycerskiego odstać nie mogło, że gdy sam nie podnosił się z łóżka, tom przynajmniej zbroję przynosić kazał, i konie pod okno wprowadzać.

Nigdy nie bywało nie płakał – a w tej chorobie gdy ludzi koło mnie nie było, jak bóbr zalewałem się łzami.

Rok – cały rok tej męczarni przetrwać musiałem, gdy w rocznicę samą dnia mo-

jego ocalenia, nawiedził mnie raz ostatni cień matki.

– Synu mój – rzekła miłosiernie – uczyni zadość ślubowi mojemu, a Bóg ci powróci zdrowie.

Byłem już tak złamanym, żem zaraz postanowienie we śnie uroczyste wyrzekł, jako rozkazowi Bożemu będę posłusznym.

No – i stał się ten cud, że gdy dnia poprzedzającego z boku na bok o swej sile obrócić się nie mogłem, nazajutrz zaraz poczułem w sobie siłę jakąś powracającą, i, polewki mało co, bez wstrętu jednak zjadłszy, z chlebem, który gorzkim mi się, jak wprzód, nie wydał – sam, bez pomocy niczyjej z łóżka wstałem i po izbie przechadzać się począłem.

Służba moja, barwierz i aptekarz, co u mnie teraz codziennymi gośćmi bywali, a pono nie wiele już sobie po mnie obiecywali; – zdumieli się niepomierne, na nogach mnie zobaczywszy. Zbiegali się ludzie niewierni patrzeć na to, bom w oczach do zdrowia powracał, jakby ręką odjął niemoc.

Miałem już najmocniejsze postanowienie słowa dotrzymać, ale caro infirma, słaba i wątła jest natura ludzka. Gdy już do wyrzeczenia słowa nieodzownego przychodziło, strach i żal mnie taki ogarniał, iż z dnia na dzień, pod różnemi pozorami odkładałem, najwięcej to w siebie wmawiając, że muszę wprzód ozdrowieć, niżeli do klasztoru pójść.

Siła nieczysta świata tego, którego mi się wyrzec przychodziło, właśnie teraz cała się na mnie rzuciła i obarczała, gdy miał rozbrat z nią czynić.

Dosyć było, aby lada jaki ciura przez ulicę pod oknem przeciągnął – abym mu losu jego zazdrościł.

Szczęk szabli i widok koni, do rozpaczy mnie prawie doprowadzały, tą myślą, że się z niemi na wieki rostać przyjdzie.

Po nocach w mózgu sny osobliwe się kręciły, nie dając mi spoczynku.

Wszystkie owe sceny obozowe na kresach, w stepach, u ognisk, na czatach z dobreimi towarzyszami tak mi się powtarzały – jakbym drugi raz je przeżywał.

Nie mogłem się opędzić im, ani krzyżem świętym, ani modlitwą.

Gdy tak sam z sobą walczyłem – człek nowy ze starym człowiekiem – trafiło się, że i Kalinowski nadjechał.

Ten słyszał tylko, że obłożnie chorującym był bez nadziei, a na nogach mnie zobaczywszy, uradowany mocno, nie wiedząc nic jeszcze o moim postanowieniu, za najlepsze lekarstwo radził w pole wyciągać.

– Z tego u ciebie choroba, żeś się zamknął w czterech ścianach, co dla człowieka najgorsze. Tobie co rychlej trzeba na koń i z dobreimi ludźmi w pole. Zaraz cię to pokrzepi.

W domu, gdyby pulpetami karmiono, nie dadzą tej siły, co chleb razowy suchy w obozie. Nie ma życia dla nas do licha, tylko na siodle i w polu.

Przez trzy dni pobytu jego we Lwowie, ciągle to jedno słysząc, na największe byłem narażony niebezpieczeństwo, a nie chciałem mu objawić o mem postanowieniu, bo by mnie był od niego odwoził. I ja się nieraz wahałem znowu – lecz w ostatniej godzinie wielka ta miłość, jaką miałem dla świętej matki mojej, zwyciężyła.

Powtarzałem to sobie, jak ona dziecko swojemu zawierzyła i ufała, a jak ja, syn niewdzięczny, dla tej co mi dała i ocaliła życie, ofiary z części jego i ze zwodniczych świata rozkoszy – okrutnie, niemiłosiernie, uczynić nie chciałem.

Stała mi przed oczyma zapłakana – a ja przed nią bez litości przechera, tylko sobie samemu i krewkości własnej dogadujący. I srom mnie ogarnął, że samolubnym był i podłym a nikczemnym.

– Nie godzienbym tej świętej niewiasty

dzieckiem się zwać, gdybym woli jej, o której w ostatniej godzinie i we snach mi przypominała – nie spełnił. Bądź więc panie miłościwu duszy mojej – a powołanego choć nie godnego sługę, ratuj łaską swoją.

Lżej mi się zaraz na sercu zrobiło, jakby z niego brzemień wielkie spadło.

Nie chciałem już odkładać i zwłóczyć. Też chwili krzyknąłem na czeladź, rozkazując aby do mnie poprosili Izdebskiego i Karskiego, który mi byli sercu najbliżsi, a towarzysze wypraw wspólnych.

Wszelki rynsztunek wojenny miałem; naówczas bardzo kosztowny i piękny, bom się w nim kochałem, i com miał kładłem w to; często dla fantazyi przepłacając. A że po obozach, gdy grosza ludziom braknie, często najdroższych rzeczy za psie pieniądze dostać można, nabrało się tego u mnie siła. Chodzili patrzeć ludzie jak na osobliwość, na te bogactwa moje.

Miałem zbroi i do boju i do stroju, na występ i w pole, wszelakiej wybór wielki; jedną szmelcowaną taką, że mi Hetman jej zazdrościł. Siodła srebrem kowane a aksamitem ociągane wszelkiej barwy, rzędów sadzonych kilka, między którymi jeden turkusami siany, z kitą dla konia, dziwnie wspaniały, kołczanów kilka na święto do popisu złotem szytych, tarcz lekkich ozdobnych niemało, łuków kilka osobliwych, broni różnej, mieczów i koncerzy do wyboru. Zawszem wozów kilka musiał za sobą mieć z temi skarbami, bom się nimi pysznił.

Na przód tych pokusliwych rzeczy pozbyć się postanowiłem. Ani się spodziewali Izdebski i Karski, gdy przyszli do mnie, co ich tu czekało.

Oprócz wszelkiego sprzętu, koni też musiałem się pozbyć, bo do tych byłem najmocniej przywiązany. Za temi małym nie płakałem. Jednego zwłaszcza, białego na czarnej skórze, z grzywą do ziemi, którego turkiem zwano – na pożegnanie chcia-

łem choć uścisnąć i pocałować – alem się bał, aby mi serce nie zmięкло. Tegom dla brata Pana Mikołaja dezygnował, z tem aby go do śmierci trzymał, nie dając nikomu.

Izdebski z Karskim gdy posłyszeli, że im wszystko oddają – uszom wierzyć nie chcieli biorąc to za żarty... Potem odradzać mi zaczęli, alem już słuchać nie chciał.

O czeladzi też wiernej nie zapomniałem, ja sam od tej godziny już niepotrzebowałem nic.

Za warunek im postawiłem tylko, aby wszystkie te rzeczy marne, do których serce tak lgnęło – natychmiast mi z przed oczów pozabierali – bym dłużej patrząc, niebolał więcej.

Splakaliśmy się wszyscy przy pożegnaniu, jakbym na śmierć szedł – ale dla świata też odtąd umarłym być chciałem.

Całą noc potem krzyżem przeleżałem na podłodze – płacząc i modląc się, ale razem błogość wielką w sercu swem czułem, iż woli nieboszczki matki mej zadość uczynię i brzemię z niej zdejmę, jak na wdzięczne dziecię przystało.

Drugiego dnia, jak świt, nieczekając aby, gdy się wieść po mieście rozejdzie, ludzie z pożegnaniami się zbiegali – nająłem prosty wóz do Krakowa, gdzie nowicyat odbyć postanowiłem, bo we Lwowie nadto miałem znajomych. Położyłem się w furze, nakryłem gunią i tak się wieść kazałem.

Chociaż mosty popaliłem za sobą, i powtarzałem ciągle – *alea jacta est* – nie przyszło mi łatwo do końca doprowadzić, com zamierzył. Całej siły i pomocy nieba zażywać musiałem, aby wszelakie pokusy odpychać i zwyciężać. Sama ta długa podróż do Krakowa kosztowała wiele, w ciągu jej oczy i uszy zatykać musiałem. Raz w raz spotykało się po noclegach i popasach ry-

cerstwo, między niem znajomych wielu, przed którymi się, jak złoczyńcy, kryć przychodziło.

Ile razy konie zarżały i zbroiczki zadzwieczyły – odzywało się to w głębi duszy mojej.

Przychodziły na mnie chwile takie, że się szaleć obawiałem.

W Krakowie się nie zatrzymując, ani w gospodzie ani po ulicach, prosto pobiegłem do klasztoru i tam, do nóg upadłszy gwardyanowi, całą mu historią moją opowiedziałem jak na spowiedzi.

Przyjął mnie dosyć łaskawie. Jednakże dowiedziawszy się o tak długich walkach i wahanii, w suspicyi zdawał się mieć powołanie i wytrwałość w niem moją – bom już znaczniejszą część życia miał za sobą, a wszystkę na koniu i we zbroi.

Zapowiedział mi od razu nowicyat surowy: posty, ubóstwo, pokorę, posłuszeństwo – ale mnie to wszystko nie tyle straszło, co narażanie się na widoki, które dawne życie przypominać mogły. Więc prosiłem tylko, aby od nich mnie strzegł i nie narażał, ale właśnie on był innej myśli.

– Moje dziecko – odpowiedział mi na to – tych widoków i pokus unikać ci nie należy, musisz się wypróbować i zahartować na przyszłość, abyś się ich nie lękał.

O nowicyacie moim mówić nie chcę, albo mało co. Żołnierz znosi łatwiej wszelkie umartwienia ciała niż inni ludzie – bo do nich jest nawykły. Mnie też ani zamiatanie korytarzy, ani sen na desce twardej przerywany dzwonkiem do chóru, ani surowe posty i jadło proste, ani chłód i bose w trepkach nogi, nie dukały tak bardzo. Ale potrzeba było często, umyślnie surowe obejście się przyjmować w milczeniu i pokorze, choć stara buta się w sercu odzywała. Co gorzej, patrzeć musiałem na owo rycerstwo, do którego nie należał, owe moje konie ulubione i zbroje – myśląc, że oni w pole ciągną swobod-

ni – weseli, a ja ta w murach umierać jestem skazany.

Serce mi się czasem ścisnęło, jakby je dłoń w rękawicy żelaznej ujęła i rozerwać chciała.

Były chwile buntu cielesnego i słabości, za które, sam sobieznaczając pokutę – krzyżem legiwałem na ziemi w celi mojej.

Gwardyan był człek rozumny, pobożny ale bardzo surowy. Na mnie zaś szczególnie zwracał uwagę, bona w oczach jego starym grzesznikiem był, o którego się obawiał, aby nie wrócił do tego błota, z którego się ledwie za łaską Bożą i opieką matki wydobył.

Nigdy tego niezapomnę, jak pod koniec nowicyatu, gdy mu inni może bracia opowiadali – co prawdą było – że cała drżała rżenie konia posłyszawszy – wystawił mnie na ostatnią najcięższą próbę.

Zajechał był do klasztoru, niewiem z jaką sprawą, sam, nawet bez sługi, Rotmistrz Parczewski, właśnie kiedy mi w kuchni pomywać kazano.

W tem słyszę bieży O. Serafin zdyszanym i woła na mnie:

– Ojciec Gwardyan kazał, abyście konia pana Rotmistrza potrzymali, dopóki nie zjeździe...

Nie było co się wypraszać, zmiarkowałem, że nie przypadkiem na tą próbę mnie wystawił. Szedłem więc posłuszny. Boże miłosierny! Koń był biały na czarnej skórze, z grzywą długą, wykapanym turek mój. Gdy się do niego zbliżyłem i ujął za cugle, a ten mnie wachać zaczął, w oczach mi się zaćmiło, cała przeszłość stanęła przedemną.

Przetrwalem to przecież mężnie, unikając aby nie patrzeć na siwego.

Com ucierpiał, Bogu niech będzie na chwałę, a gwardyan jeszcze śmiał się potem ze mnie.

Nowicyat dzięki jemu, skrócony, do portu mnie doprowadził. Dziś już ta przeszłość nie czyni na mnie i impresji żadnej – Vanitas vanitatum.

Tak tedy macie, miłościwy panie Starosto, curriculum vitae sługi waszego, który w spokoju i szczęśliwości klasztornej na intencyą waszą i godnej familii, modlić się i do Boga wzdychać nie przestanie i t. d.

Kraków Sługa pokorny i bogomodłca
r. O. Feliks Z. B.,
Decembris.

* * *

Z tym owocem nocy bezsennej, nazajutrz rano wybrałem się do domu, i zajmując się do Paprockiego, przekonałem się, że cała ta historia Bernarda Kurzańskiego, wcale nie była zmyśloną. Pisze on o niej pod Odrowążami.



Stara kapliczka w Boremlu

Fot. Ryszard Frączek



Poezja - Поезія

Czesław JANCZARSKI
MODLITWA

Nad brzegiem zwalona topola, w spróchniałej dziupli
żółte oczy jaskrów

Tu w dzień przemyskały pod wodą szybkie stada ryb,
żaby leniwe, miedzianookie nieruchomo tkwiły na wodzie i piasku,
dzikie gołębie raz po raz gruchały w chłodnej głębi lip.

O, Panie, ciężki Twój upał nad wsią zbłąkaną w dalach!
Gdy słowo nad brzegiem odnajdę modlitwą Ciebie pochwałę.

Wieczorem nadlatywały wielkie, czarnobiałe émy
i nocne pawiki snuły nieomylny cień lotów nad trawą, lśniły.
Granatowe jezioro rozwieszone na złotych ćwiekach gwiazd
nie знаły wtedy spokoju – obłoki, barki tęsknot zawiliych,
lotów spragnione płyną, wciąż inne, za las.

Świątku dobry, na rozstaju modlitw w gruszy rzeźbiony,
błogosław milcząc lotom cichym w wieczór wonny!

Kiedy noc, jak czarny ptak ciemnym skrzydłem biła o toń,
a na siną groblę nieba wybiegły sandały szumu złote,
patrzyłem trwożny, nie znając innych słów modlitwy nad ciszę,
potem
wiosła zgubionego w tatarakach długo szukała dłoń.

Módlmy się tęsknotą, tajemnicą w różowej mgłę wiosel.
Nad ranem przez szuwary biegła sygnaturka uboga i bosa.

[„Arkusze poetycki”, z. 12, Wydawnictwa F. Hoesicka, Warszawa 1938. Wiersz ze zmianami i pod tytułem „Pejzaż z nocy” umieszczony w tomiku „Wykrój liścia”, Warszawa, 1957].



Дзедзіцтва - Спадщина

SPRAWA MADAGASKARSKO-WOŁYŃSKA

Parę tygodni temu umieściliśmy wiadomość, że trędowaci na Madagaskarze zwrócili się do Stolicy Apostolskiej z prośbą o wszczęcie procesu beatyfikacyjnego o. Jana Beyzyma T.J. Daleko od nas ten Madagaskar, wielka, do Afryki przynależna wyspa, a jednak wystąpienie jego mieszkańców, czarnoskórych Malgaszów, obchodzi nas szczególnie blisko. Bo o. Jan Beyzym, o którym oni piszą do Stolicy Apostolskiej, to nasz rodowity szlachcic wołyński, z wielu naszymi rodami wołyńskimi spokrewniony. Choć obecnie za kordonem sowieckim, ale na Wołyniu przecie jest wieś Beyzymy Wielkie w pow. zasławskim, w której on, w domu swego stryja, w r. 1850 przyszedł na świat. W powiecie zwiahelskim jest wieś jego rodziców Onackowce, w której spędził on swe dzieciństwo. W naszym wołyńskim Łabuniu przyjął pierwszą Komunię św. Gdy majątek rodziców po powstaniu 1863 r. został skonfiskowany, przebywał często u swoich krewnych na Podolu, we wsi Słedziach.

Gimnazjum ukończył w Kijowie. Słowem, postać to związana blisko z całym naszymi Kresami, a zwłaszcza z Wołyniem. Jakże to się stało, że o szlachcica wołyńskiego Jana Beyzyma tak się troszczą czarni Malgasze z Madagaskaru? Jak się stało, że szlachcic wołyński Jan Beyzym poczyną sięgać po najwyższą chwałę, wyniesienie na ołtarze? „*Jakimże to prawem, moiści Beyzymie – chcielibyśmy zapytać słowy Sienkiewicza – chcesz wejść tam, dokąd ni urodzenie, chociażby tak zacne jak twoje, ni senatorska godność, ni urzędy koronne, ni majestatu nawet purpury, jeszcze same przez się wolnego*

wstępu nie dają? Dokąd nie gościńcem szerokim, w poszóstnej karecie, z hajdukami się jedzie, ale stromą, ciernistą drogą cnoty wspinać się trzeba?”

Twardą drogą, drogą powołania zakonnego i ciężkiej ofiary, doszedł do tego Jan Beyzym. Do stanu duchownego czuł powołanie od wczesnej młodości, toteż miało go oglądać w swoich murach, jak o tym marzył, seminarium żytomierskie. Jednak zrządzeniem Bożym wypadło mu znaleźć się za ówczesną granicą austriacką, gdzie przebywał po powstaniu jego ojciec. Zamiast do seminarium, wstąpił do nowicjatu o.o. jezuitów. W tym zakonie, po dłuższej pracy w słynnym chyrowskim zakładzie wychowawczym, postanowił poświęcić się służbie najniebezpieczniejszemu, najbardziej opuszczonemu, trędowatemu. Wyjechał w tym celu na Madagaskar i tam, jakby żywcem pogrzebany, w najokropniejszych warunkach, spędził ostatnie 14 lat swego życia, od r. 1898 do r. 1912. Myślał wprawdzie w ostatnich latach o opuszczeniu tej placówki, ale po to tylko, by poświęcić się pracy może jeszcze cięższej, bo wśród katorżników na Sachalinie. Nie doszło do tego. Na swoim Madagaskarze dokonał ofiarnego życia, a choć zmarł na febrę, jednak miał wówczas sam początki trądu, którym się zaraził przy pielęgnowaniu chorych.

Pobudką do tak wielkiego poświęcenia się było jedno: miłość. O. Jan Beyzym bolał nad nędzą duchową i cielesną nieszczęśliwych trędowatych, pragnął ulżyć ich cierpieniom doczesnym, a zarazem sprawić, by w zamian za te cierpienia mogli osiągnąć radość wieczną w życiu przyszłym. W tym celu wyrzekł się na zawsze

pobytu we własnej Ojczyźnie, udał się na daleki Madagaskar, pędził życie w warunkach ciężkich pod każdym względem, przezwyciężył w sobie wstręt do obrzydliwych ran, a, co najgroźniejsze, narażał się każdej chwili na zarażenie się straszliwą i nieuleczalną chorobą. Był to ten stopień miłości, o którym Pan Jezus mówi: „Większej nad tę miłości żaden nie ma, aby kto duszę swą położył za przyjaciół swoich” (Jan 15,13).

Stąd słuszna jest zaniesiona w 25 roku od dnia zgonu o. Beyzyna prośba mieszkańców Madagaskaru, aby Kościół zbadał dokładnie życie wielkiego opiekuna trędowatych i wydał orzeczenie, iż miłość jego sięgała istotnie granic bohaterstwa. Zdaje się, iż stwierdzenie tego faktu nie powinno napotkać na większe trudności. Jeżeli jeszcze Panu Bogu się spodoba stwierdzić świętość o. Beyzyna cudami, będziemy mogli się spodziewać beatyfikacji, a potem kanonizacji wiernego sługi Bożego.

Poruszona przez Madagaskar sprawa musi obchodzić żywo całą Polskę. Ale przejąć się nią powinna szczególnie nasza diecezja wołyńska. O. Jan Beyzym, gdyby został wyniesiony na ołtarze, byłby naszym szczególnym patronem i naszą wielką chlubą. Dotychczas mamy z Wołynia tylko jednego świętego kanonizowanego: św. Jozafata Kuncewicza. Powinniśmy pragnąć i starać się, aby liczba naszych świętych się zwiększyła. Nie jest to rzeczą niemożliwą, gdyż postaci, rogujących nadzieje na możliwość kanonizacji, mamy wiele: jezuita Jan Beyzym, brygidka Anna Omiecińska, której zwłoki spoczywają pod katedrą w Łucku, biskup Tomasz Ujejski w katedrze żytomierskiej, a kto wie, czy i nie kto z nowszych, jak ks. Kazimierz Chaszczyński, proboszcz z Kodni pod Żytomierzem.

Jeżeli o. Beyzym byłby pożądanym jako patron dla całego Wołynia, to tym bardziej byłby takim dla tych miejscowości, z którymi był związany najbliżej, dla

ziem, znajdujących się obecnie pod rządami bolszewickimi. Tamtejszym katolikom jest najciężej, im potrzeba jak najwięcej pomocy Bożej. Dla nich świadomość, że uzyskali nowego patrona w niebie, była-by bodźcem do dalszego wytrwania, jeżeli miałoby być wolą Bożą, aby ucisk religijny w tej diecezji trwał aż do czasu beatyfikacji o. Beyzyna.

Będąc tak blisko zainteresowany poruszoną przez mieszkańców Madagaskaru sprawą, Wołyń winien dołożyć starań ku dalszemu pomyślnemu jej rozwojowi. Na czym mają polegać te starania? Najpierw trzeba dążyć do tego, aby cała nasza ludność poznała bliżej tę świątobliwą postać. Posłużą do tego wydane już życiorysy o. Beyzyna, a zwłaszcza jego prześlíčne listy, pisane z Madagaskaru, odczyty i pogadanki o nim, wizerunki z modlitwą o jego beatyfikację. Następnie potrzebne są modlitwy dusz pobożnych o beatyfikację, a także i o potrzebne do niej cuda. Wreszcie może i nam wypadałoby poprzeć prośbę trędowatych z Madagaskaru swoimi prośbami, zanoszonymi do Stolicy Apostolskiej a opatrzonymi licznymi podpisami.

Musimy się ruszyć. Niech to nasze wezwanie znajdzie zrozumienie wśród dusz gorliwych na naszym Wołyniu. Niech znajdą się apostołowie, którzy postawią sobie za cel dążenie do beatyfikacji o. Jana Beyzyna. Ich modlitwy i starania nie pozostaną bez skutku. A silny ruch w tym kierunku przyczyni się bez wątpienia i do podniesienia ogólnego poziomu religijności na Wołyniu.

C.

[ks. Zygmunt Chmielnicki]

Źródło:

C. [ks. Zygmunt Chmielnicki], „Sprawa madagaskarsko-wołyńska”, „Życie Katolickie” nr 32 z 8 sierpnia 1937 s. 497-498.



Молитва - МОЛИТВА

LITANIA DO BŁ. JANA BEYZYMA, POSŁUGACZA TRĘDOWATYCH

Kyrie, eleison.
Chryste, eleison.
Kyrie, eleison.

Chryste, usłysz nas.
Chryste wysłuchaj nas.

Ojcie z nieba, Boże, – zmiłuj się nad nami.
Synu, Odkupicielu świata, Boże, – zmiłuj się nad nami.
Duchu Święty Boże, – zmiłuj się nad nami.
Święta Trójco, Jedyny Boże, – zmiłuj się nad nami.

Jezu, Synu Boga żywego, – zmiłuj się nad nami.
Jezu, Jedyny Zbawicielu świata, – zmiłuj się nad nami.
Jezu, Drogo, Prawdo i Życie nasze, – zmiłuj się nad nami.
Jezu, miłujący nas aż do końca, – zmiłuj się nad nami.
Jezu, uświęcająca mocy dusz ludzkich, – zmiłuj się nad nami.

Święta Maryjo, Matko Boża, – módl się za nami.
Święta Maryjo, wspomóżycielko Ludu Bożego, – módl się za nami.
Święta Maryjo, pośredniczko łask wszelkich, módl się za nami.
Święty Ignacy Loyolo, założycielu zakonu Towarzystwa Jezusowego,
módl się za nami.

Błogosławiony Janie, zacny obywatelu Wołynia, módl się za nami.
Błogosławiony Janie, duchowy synu św. Ignacego, módl się za nami.
Błogosławiony Janie, pałający duchem misyjnym, módl się za nami.
Błogosławiony Janie, wielki czcicielu Bogarodzicy, módl się za nami.
Błogosławiony Janie, zawierzający swe życie i dzieło Matce
Zbawiciela, módl się za nami.

Błogosławiony Janie, mężu żarliwej modlitwy, módl się za nami.
Błogosławiony Janie, miłośniku woli Bożej, módl się za nami.
Błogosławiony Janie, wypełniający trudne posłuszeństwo
przełożonym, módl się za nami.

Błogosławiony Janie, pokornie miłujący Jezusa, módl się za nami.
Błogosławiony Janie, miłośniku krzyża Jezusowego, módl się za nami.

Błogosławiony Janie, pragnący większej chwały Bożej,
módl się za nami.
Błogosławiony Janie, pomagający ludziom w powrocie do Boga,
módl się za nami.
Błogosławiony Janie, pragnący dobra ludzi i zbawienia ich dusz,
módl się za nami.
Błogosławiony Janie, wzorze pokory i prostoty, módl się za nami.
Błogosławiony Janie, apostołe Madagaskaru, módl się za nami.
Błogosławiony Janie, opiekunie Malgaszów, módl się za nami.
Błogosławiony Janie, ofiarny posługacz trędowatych,
módl się za nami.
Błogosławiony Janie, budowniczy schroniska i szpitala w Maranie,
módl się za nami.
Błogosławiony Janie, pielęgniarzu chorych, módl się za nami.
Błogosławiony Janie, pragnący trądu, aby upodobnić się do swoich
podopiecznych, módl się za nami.
Błogosławiony Janie, poświęcający życie swoje dla cierpiących,
chorych przyjaciół, módl się za nami.
Błogosławiony Janie, duchowy apostołe więźniów z Sachalina,
módl się za nami.
Błogosławiony Janie, kochający drogich zmarłych, módl się za nami.
Błogosławiony Janie, tęskniący za Ojczyzną, módl się za nami.
Błogosławiony Janie, pragnący nieba, módl się za nami.
Baranku Boży, który gładzisz grzechy świata, – przepuść nam Panie.
Baranku Boży, który gładzisz grzechy świata, – wysłuchaj nas Panie.
Baranku Boży, który gładzisz grzechy świata, – zmiłuj się nad nami.

K. Módl się za nami błogosławiony Janie Beyzymie.

W. Abyśmy się stali godnymi obietnic Chrystusowych.

Módlmy się:

Boże, Ty dla zbawienia cierpiących na Madagaskarze trędowatych obdarzyłeś błogosławionego Jana Beyzyna, kapłana, apostołską mocą i heroiczną cnotą miłosiernej miłości, † spraw, abyśmy pobudzeni jego przykładem wzrastali w miłości do braci będących w potrzebie i spieszyli im z pomocą. Przez Chrystusa Pana naszego.

Amen.

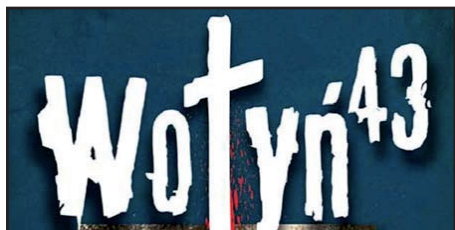
Źródło:

<http://beyzym.pl/litania-bl-jana-beyzyna/>



Punkt widzenia - Точка бачення

PRAWO DO PAMIĘCI O WOŁYNIU



Pomordowani na Wołyniu Polacy czekają na godne upamiętnienie. Niestety, obóz rządzący nie jest zainteresowany prawdą historyczną – twierdzi poseł PSL.

Zbliżająca się rocznica rzezi wołyńskiej i zaplanowane przez PSL dwudniowe obchody upamiętnienia tego tragicznego dla Polaków wydarzenia są dobrą okazją do rozważań na temat skomplikowanych losów dwóch narodów. I trzeba sobie jasno powiedzieć – dopóki historia dzieli Polskę i Ukrainę, dopóty nie może być mowy o prawdziwym porozumieniu i współpracy. A o tym zdaje się zapominać rząd PiS, który brnie w pułapkę pomocy Ukrainie bez uzyskania dla Polski istotnych traktatów i zapewnień, także w kwestiach historycznych.

ŚMIERĆ LACHOM

Ludobójstwo Polaków na Kresach Wschodnich było jedną z największych współczesnych tragedii, która dotknęła nasz naród. Pamięć o tym wydarzeniu jest żywa w polskich rodzinach i domach do dzisiaj.

Wielu z nas zna tę ponurą kartę historii. Silnie rozbudzone nastroje nacjonalistyczne doprowadziły do wielkiej tragedii. Po ataku Niemiec na Rosję w 1941 roku Wołyń i okolice zostały włączone do tzw. Komisarjatu Rzeszy Ukraina. Ukraińcy współpracujący z okupacyjnymi władza-

mi niemieckimi postanowili usunąć Polaków z Wołynia i Małopolski Wschodniej. Od 1942 roku zaczęły się mordy na pojedynczych osobach. 11 lipca 1943 roku oddziały Ukraińskiej Armii Powstańczej (UPA) dokonały jednoczesnego ataku na 99 polskich miejscowości. Hasłem przewodnim ataku była „Śmierć Lachom”. Polskie wsie były palone, aby uniemożliwić ponowne osiedlenie się tam ludności. Morderstw dokonywano z ogromnym okrucieństwem. Częste były przypadki odrąbywania głów siekierami, zabijania dzieci poprzez uderzanie nimi o sztachety czy pnie drzew.

Skala terroru i okrucieństwa sięgnęła zenitu. Była to ohydna, zaplanowana z rozmysłem zbrodnia. Mordowano nie tylko Polaków, ale też Żydów i Ukraińców, którzy pomagali swoim sąsiadom.

Śledztwo, które prowadzono z udziałem polskich i ukraińskich historyków wiele lat później, pokazało, że inspiratorami tych działań byli nie tylko przywódcy ukraińscy, wskazano również sowieckie służby specjalne. Jednocześnie partyzantka sowiecka była – obok Niemców i ich sojuszników, polskiej samoobrony i UPA – czwartym uczestnikiem tragicznych wydarzeń, niejednokrotnie występując w obronie polskiej ludności. Jej udział w walkach na Wołyniu narastał. Było to związane ze zbliżaniem się decydującego rozstrzygnięcia na froncie wschodnim. Chcąc nie chcąc, sowiecka partyzantka stała się z jednej strony świadkiem zagłady ludności polskiej przez formacje OUN-UPA, z drugiej uczestnikiem walk na tym terenie. Banderowcy od samego początku uznawali ją za głównego wroga zewnętrznego, z czasem starając się obciążyć ją odpowiedzialnością (w łagodniejszej wersji

współodpowiedzialnością) za to, co działo się na Wołyniu w 1943 roku.

Jednak bezpośrednią odpowiedzialność sprawczą ponoszą działacze Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów. Na czele ruchów nacjonalistycznych stał Stepan Bandera, zagorzały zwolennik samostanowienia Ukrainy i likwidacji wszelkich przejawów polskości na Kresach Wschodnich Rzeczypospolitej. Ukraińcy nie byli jednomyślni. Wśród nich znalazło się ponad 1300 osób określanych jako ukraińscy sprawiedliwi. Ratowali Polaków, pomagali im się ukryć i wyjechać. Niektórzy zapłacili za to straszliwą cenę. Kara za pomoc mogła być tylko jedna – śmierć, często w męczarniach.

Pomordowani Polacy czekają na godne upamiętnienie. Niestety, obóz rządzący nie jest zainteresowany prawdą historyczną.

Tymczasem nie można budować zdrowych stosunków na kłamstwie.

Pojednanie musi być autentyczne, dotyczyć powinno zwykłych obywateli – nie tylko elit. Jako Polacy powinniśmy przede wszystkim dążyć do prawdy. Ukraina zasługuje na pomoc i wsparcie, ale nie kosztem zakłamania lub przemilczania niewygodnych faktów. „Historycznym krętownikiem” nazywał Ryszard Terlecki próby łagodzenia stanowiska wobec Ukrainy przez Platformę Obywatelską. – Jak by tu historię przekręcić, by była bezpieczna, miła i nie wadziła nikomu – komentował wówczas poseł PiS i profesor historii. Mówił też, że jest to skandaliczne postępowanie. Wystarczyło kilka lat, by jego koleżanki i koledzy z PiS robili to, co krytykowali ledwie trzy lata temu. W imię czego?

DZIWNA POLITYKA RZĄDU PiS

Chciałbym, by sprawa ludobójstwa popełnionego przez Ukraińców znalazła swój godny finał w postaci odpowiedniego stanowiska polskiego Sejmu, ale też, by Ukraina przestała gloryfikować zbrod-

niarzy. Polskie Stronnictwo Ludowe od lat opowiada się za potępieniem działań UPA i ustanowieniem Dnia Pamięci o Polakach – Ofiarach Ludobójstwa dokonanego przez OUN-UPA na Kresach Wschodnich II Rzeczypospolitej. – To nawet nie prośba, ale błaganie. Ustalmy ten dzień, by dzieci ofiar mogły się pochylić nad śmiercią swoich ojców – apelował w Sejmie RP poseł PSL Franciszek Jerzy Stefaniuk.

Czy w imię niezrozumiałych racji czy też poprawności politycznej rząd PiS, tak jak poprzednio uczyniło to PO, wstydliwie schowa uchwałę PSL do szuflady?

Rząd PiS prowadzi bardzo dziwną politykę związaną z Ukrainą. Na ambasadora w tym kraju mianował człowieka, którego wypowiedzi dyskwalifikują go jako kandydata na tak poważne stanowisko. Jan Piekło, bo o nim mowa, dyskredytował środowiska kresowe. Takie ataki, często personalne, nie mogą być dobrą rekomendacją dla kogoś, kto musi dbać o polskie interesy, także historyczne. Czy za chwilę się dowiemy, że ambasador kwestionuje ludobójstwo Polaków w imię tzw. racji stanu?

Nic dziwnego, że do premier Beaty Szydło trafiają liczne protesty w sprawie tej nominacji. List otwarty wystosowali przedstawiciele Rodzin Kresowych.

Nawet polskie media, do niedawna publiczne, uczestniczą w festiwalu zakłamania. Oto redakcja ukraińska Polskiego Radia zmanipulowała wypowiedź jednego z posłów. Kłamliwy tekst, który zaczął być bardzo szybko cytowany w mediach ukraińskich, brzmiał: „Dla Polski ważne jest budowanie strategicznego partnerstwa z Ukrainą na podstawie prawnej. W tym roku Sejm RP zamierza zamknąć te-





mat tragedii wołyńskiej i rozpocząć nowy etap w stosunkach między Polską a Ukrainą”.

Kto i dlaczego zmanipulował tę wypowiedź? Miłośnicy spiskowej teorii dziejów powiedzieliby, że jest to ukryta opcja ukraińska. Ja skłaniam się do teorii, że tej zmiany dokonano na wyraźne życzenie politycznych satrapów, odpowiadających za współpracę międzynarodową.

POMNIKI MORDERCÓW

Lipiec, w którym przypada kolejna rocznica tragedii, będzie okazją do dwudniowych obchodów upamiętniających bestialsko zamordowanych. 10 lipca w Legnicy odbędą się uroczystości organizowane przez Polskie Stronnictwo Ludowe. Ludowcy organizują również 11 lipca w Sejmie konferencję naukową, poświęconą sprawie ludobójstwa Polaków na Wołyniu. Liczny udział w wydarzeniu zapowiedzieli przedstawiciele organizacji kresowych, potomkowie wygnanych i pomordowanych z zimną krwią Polaków. Bo sprawa ta nadal jest żywa w polskim społeczeństwie i nie można jej z powodów

doraźnych politycznych i wątpliwych korzyści chować przed opinią publiczną.

Jakże często próbuje się relatywizować tamte wydarzenia, w iluż publikacjach możemy przeczytać o tysiącach Polaków i Ukraińców, którzy wtedy zginęli. Osobliwe i niedopuszczalne jest stawianie znaku równości między ofiarami a zbrodniarzami i rozmywanie odpowiedzialności.

Hiszpańskie ofiary ludobójstwa wyniesiono na ołtarze, podobnie jak niemieckiego nazizmu, a nawet komunizmu. Świeccy i duchowni – ofiary nacjonalizmu ukraińskiego zamordowani z nienawiści do Kościoła katolickiego i naszej wiary nadal czekają...

Patrzac na straszliwe zdjęcia pomordowanych dzieci, matek, ojców, w oczach stają mi łzy. Bo popełniono prawdziwą zbrodnię, o której nie wolno nam zapomnieć. Czy ci, którzy kwestionują zasadność upamiętniania ofiar, będą mieli odwagę spojrzeć w oczy tym wszystkim rodzinom, które dotknęła ta tragedia? Wątpię. Bo dzisiaj polityczna poprawność to coś w rodzaju opaski na oczy, która pozwala wybiórczo dostrzegać rzeczywistość. Tyle że krew Polaków przelano na prawdę. Wielu z nich nie doczekało się nawet grobu. A ich mordercy są dzisiaj gloryfikowani, na Ukrainie stawiane są im pomniki. Za to nie możemy się zgodzić.

Piotr Zgorzelski

Źródło: Rzeczpospolita nr z 10 czerwca 2016 roku. // <https://www.rp.pl/Publicystyka/306099880-Prawo-do-pamieci-o-Wołyniu.html>



З життя Церкви - З життя Церкви

POSŁUGA SIÓSTR ALBERTYNEK WE LWOWIE

Dokładnie po 125 latach od przybycia pierwszych sióstr albertynek do Lwowa, 1 listopada 2017 roku siostry ponownie rozpoczęły pracę w tym mieście, gdzie do 1945 r. pracowały w 14 domach na tych terenach. Były to przytuliska dla ubogich, sierocińce, domy dla nieuleczalnie chorych. Jednak po ukończeniu wojny wraz z odcięciem ziem wschodnich, siostry musiały na stałe opuścić swoich podopiecznych.

Choć minęły lata i w różnych sferach życia świat postąpił do przodu, to jednak ubodzy i potrzebujący pomocy są ciągle wśród nas. Potrzebujący pomocy materialnej, ale przede wszystkim zrozumienia, ciepła i dostrzeżenia wartości ich człowieczeństwa. Bieda pozostała ta sama, tylko niekiedy ma inne oblicze: są ci sami ubodzy, głodni, chorzy, samotni, bezdomni; ludzie, którzy zagubili swoją godność; młodzież, która potrzebuje wsparcia; dzieci zostawione przez rodziców (rodzice rozwiedzeni lub za granicą, którzy wyjechali w poszukiwaniu lepszej pracy). Dlatego, aby stworzyć godne warunki życia, powstała nasza placówka, gdzie pracują trzy siostry.

Realizując charyzmat naszego Ojca Założyciela Świętego Brata Alberta, który mawiał, że trzeba być dobrym jak chleb..., codziennie wyruszamy ze swego domu by służyć tym, którzy najbardziej potrzebują pomocy. Jedną z nas pracuje w kuchni Caritas-Spes we Lwowie, gdzie każdego dnia przygotowuje posiłki dla około 100 osób. Ja ze współsiostrą przemierzamy ulice Lwowa pomagając chorym, samotnym osobom w domu, spełniając najniższe posługi (opatrujemy rany, sprząta-



**Siostry Albertynki i Bracia Albertyni
powrócili do Lwowa w 2017 roku**

Fot. <http://www.zyciezakonne.pl/>

my, kąpiemy). Chodzimy do rodzin pozbawionych elementarnych środków do życia, towarzyszymy pacjentom w szpitalu psychiatrycznym, nosimy posiłki, które same przygotowujemy, prowadzimy z nimi rozmowy, podtrzymujemy na duchu. Służymy pomocą również w Ośrodku Terapii dla młodzieży uzależnionej od narkotyków, hazardu, alkoholu, pornografii. Są to perły Boga, w których zostało zatarte Jego piękno. Tak jak Święty Brat Albert staramy się na nowo odkrywać zatarty obraz Boga w drugim człowieku. Staramy się nie tylko o zaspokojenie potrzeb bytowych, czy zapewnienia opieki, ale także troszczymy się o sferę duchową swych podopiecznych. Od nich również uczymy się wiary i ufności w Boże Miłosierdzie. 92 letnia kobieta, która przeżyła obóz koncentracyjny w Oświęcimiu mówiła, że przeżyła dzięki modlitwie. Modli-



Fot. Wita
Jakubowska
/ [https://cre-
do.pro/](https://cre-do.pro/)

Dom Miłosierdzia dla mężczyzn i jadalnia dla ubogich we Lwowie

ła się dwoma Psalmami: Kto się w opiekę odda Najwyższemu... i Zmiłuj się nadę mną Boże w łaskawości Swojej... Nigdy nie narzekała, że było ciężko, ale jak sama mówi, zawsze czuła, że Bóg jest z nią.

Na Wschodzie Ukrainy trwa nadal wojna, choć może już mniej się o niej mówi, ponieważ inne wydarzenia przyćmiły tę tragedię. Każdego dnia nadal giną często niewinni ludzie, niektórzy stracili cały dorobek swego życia, najbliższych (dzieci rodziców), niektórzy uciekają na zachód, bez dowodu tożsamości, często bez imienia, podając nieprawdziwe. Spotykamy ich na ulicach Lwowa, w parkach na ławkach, na dworcach...

Naszym pragnieniem jest wybudowanie przytuliska dla bezdomnych kobiet, których na ulicach Lwowa jest dużo. Bracia Albertyni mają już takie przytulisko, dla 40 mężczyzn. My mamy już plac i mamy projekt. Szukamy różnych możliwości pozyskania środków na ten cel, między innymi i tą drogą zwracamy się z prośbą o pomoc. Dziękujemy również wszystkim, którzy zechcą wesprzeć to dzieło materialnie, czy duchowo.

Święty Brat Albert uczy, że postawę służebnej miłości najlepiej ukazuje nam Chrystus w Eucharystii – „*Skoro jest Chlebem i my bądźmy chlebem, dawajmy siebie samych...*” Mawiał również – „*Powinno się być dobrym, jak chleb, który dla wszystkich leży na stole, z którego każdy może kęs dla siebie ukroić i nakarmić się, jeśli jest głodny*”.

Bądźmy i my dla wszystkich dobrym, świeżym i pachnącym chlebem, by każdy, kto z nami się spotka nigdy nie odszedł głodny...

s. Hieronima-Dorota Kondracka
albertynka

Czytelnikom, którzy zechcieliby wspomóc dzieło Sióstr Albertynek we Lwowie, podajemy numer konta bankowego w banku PKO BP:

19 1020 1042 0000 8002 0125 2220

z dopiskiem: Przytulisko – Lwów

Jest to konto Zgromadzenia Sióstr Albertynek Posługujących Ubogim, Prowincja Warszawska, ul. Kawęczyńska 4A, 03-772 Warszawa

Z życia Kościoła na Wołyniu - З життя Церкви на Волині

W HOROCHOWIE BĘDZIE NOWY KOŚCIÓŁ

Sobota 5 października [2019 r.] stała się szczególnym dniem dla katolików z Horochowa. W tym dniu ksiądz biskup Witalij Skomarowski poświęcił miejsce pod budowę katolickiej świątyni.

Pierwszy znany katolicki kościół w Horochowie pod podwójnym wezwaniem – Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny i Znalezienia Krzyża Świętego – został wybudowany w latach 1619-1626. Choć jest prawdopodobne, że w miasteczku kościół katolicki istniał też wcześniej, ponieważ pierwsza pisemna wzmianka o nim pochodzi z 1450 roku. Na początku XIX wieku kościół spłonął, więc ówczesny właściciel Horochowa, hrabia Walerian Strojnowski, w 1808 r. wybudował nową świątynię. Budynek stał przez prawie półtora wieku, dopóki nie został rozebrany w latach 50. XX wieku z rozkazu władz radzieckich.

W Horochowie, posiadającym prawo magdeburskie od 1600 r., od dawna wspólnie mieszkali Ukraińcy, Polacy i Żydzi. II wojna światowa zburzyła tradycyjny skład narodowościowy miasteczka. We wrześniu 1942 r. wymordowano miejscowych Żydów, wspólnota których przed wojną liczyła ponad 3 800 osób, a w styczniu 1944 r. uciekli stąd Polacy. Po Żydach pozostała tylko duża zbiorowa mogiła za miastem, po Polakach – mogiły na lokalnym cmentarzu. W 1973 r. sowieci zlikwidowali też cmentarz. Ci katolicy, którym udało się przetrwać zawieruchę wojenną oraz prześladowania religijne, woleli ukrywać swoje wyznanie i narodowość.

Po ogłoszeniu przez Ukrainę niepodległości w 1991 r. zaczęło się odrodzenie



**Biskup Witalis Skomarowski
poświęcił miejsce pod nowy kościół**
Fot. Irena Dejneka

parafii katolickiej w Horochowie. Nieliczna wspólnota prawie przez trzydzieści lat gromadziła się na nabożeństwach w dzierżawionych przez Stowarzyszenie Kultury Polskiej imienia Ewy Felińskiej salach miejscowej szkoły sportowej. Przez cały ten okres katolicy nie ustawali w staraniach o własną świątynię. W końcu ich wysiłki zaowocowały – w 2016 r. Horochowska Rada Miejska przydzieliła im działkę i zezwoliła na budowę kościoła. Tak więc 5 października br. ksiądz biskup Witalij Skomarowski, ordynariusz diecezji łuckiej, poświęcił teren, na którym po-

wstanie kościoł. Zostanie wybudowany w miejscu, gdzie kiedyś istniał cmentarz katolicki.

Będzie to świątynia pod wezwaniem [bł.] Władysława Bukowińskiego, proboszcza łuckiej katedry Świętych Apostołów Piotra i Pawła, więźnia sowieckich łagrów, Apostoła Kazachstanu, beatyfikowanego w 2016 roku. To pierwszy na Ukrainie kościół pod wezwaniem tego błogosławionego.

Uroczystość rozpoczęła się od modlitwy różańcowej w intencji wszystkich, którzy spoczywają na cmentarzu horochowskim. Następnie odbyła się Msza św. i poświęcenie terenu pod świątynię. Liturgię wspólnie z biskupem odprawili księża diecezji łuckiej: proboszcz łuckiej katedry i jednocześnie parafii horochowskiej ksiądz kanonik Paweł Chomiak, ksiądz kanonik Witold Józef Kowalów, księża Roman Własiuk i Marcin Ciesielski. W mszy uczestniczyli parafianie z Horochowa, katolicy z Łucka i liczna grupa pielgrzymów z Polski.

W kazaniu biskup Witalij przypomniał życiorys błogosławionego księdza Władysława Bukowińskiego (a w dodatku swojego rodaka, bo obydwaj pochodzą z Berdyczowa), który łączył nie tylko Polaków i Ukraińców, ale też narody: niemiecki, rosyjski, litewski i kazachski, ponieważ służył wszystkim bez wyjątku. Kilka razy miał możliwość wyjechać do Polski, ale bez wahań, uwolniony z radzieckich obozów, pozostał w Kazachstanie, aby nieść Słowo Boże i miłość Bożą więźniom i wygnańcom. Biskup również podkreślił: *«Wtedy były czasy, gdy zamykano świątynie, a obecnie, dzięki Bogu, mamy czasy, gdy możemy te świątynie budować. Chcemy więc podziękować Bogu, że żyjemy w tych czasach, kiedy świątynie są budowane. To czasy ogromnej łaski Bożej. Nie wszystkim los pozwala na to, by w*

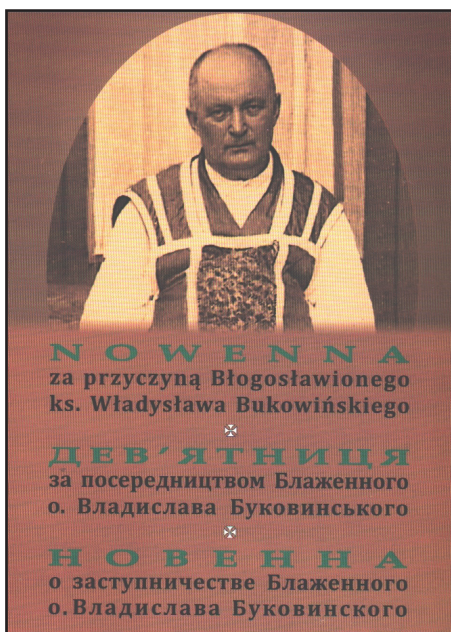
ogóle mieć możliwość założenia podwalin budynku, w którym będzie chwalony Bóg».

Pod koniec uroczystości biskup podziękował za modlitwę wszystkim zgromadzonym, a szczególnie parafianom z Horochowa – garście katolików, która mimo wszystko przetrwała i teraz buduje własną świątynię.

Po nabożeństwie wierni uczcili relikwie swojego patrona. Ksiądz kanonik Witold Józef Kowalów podarował wszystkim przygotowaną ostatnio przez niego publikację – *«Nowennę za przyczyną Błogosławionego ks. Władysława Bukowińskiego»*. Książka została wydana w trzech językach – polskim, ukraińskim i rosyjskim.

Anatol Olich

Anatol Olich, „*W Horochowie powstanie nowy kościół*”, „Monitor Wołyński” nr 19 (243) z 10 października 2019 r., s. 16.



Ї нас на Воїлині - У нас на Волині

II ŚNIADANIE MODLITEWNE W OSTROGU



Ks. Mykoła Adamowycz, administrator parafii grekokatolickiej w Ostrogu

Fot. Wadym Bondarczuk

W Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej tradycja takich spotkań ma już ponad 60 lat, a śniadania modlitewne są okazją, by Republikanie i Demokraci zapomnieli o aktualnym sporze politycznym i skupili się na Bogu. Dobrze się stało, że „moda” na podobne spotkania dotarła do nas.

W piątek, 20 września 2019 r. w godz. od 10:00 do 13:00 w Ostrogu na Zamku Ostrofskich odbyło się drugie w historii naszego miasta Modlitewne Śniadanie. W historycznej sali zamkowej wyczuwało się

duch i dziedzictwo tego szczególnego miejsca. Tym razem zgromadzili się tutaj nie turyści i wycieczkowicze, a kapłani różnych wyznań, działacze społeczni i przedstawiciele władzy, aby połączyć się modlitwą wdzięczności.

Wystąpienia poszczególnych duchownych, w tym proboszcza parafii rzymskokatolickiej w Ostrogu ks. Waldemara Szlachty, koncentrowały się wokół problematyki „Bóg – rodzina – Ukraina” i współczesnych zagrożeń życia chrześcijańskiego i narodowego młodego państwa ukraińskiego.

Następnie odbyła się aukcja charytatywna, a po niej wspólna modlitwa, w której wziął także udział wieloletni emerytowany proboszcz miejscowej parafii rzymskokatolickiej ks. Vitold-Yosif Kovaliv. Wymiana myśli kontynuowana była także przy kawie, herbacie i wodzie mineralnej.

Nowa tradycja Modlitewnych Śniadań przyjmuje się także na Wołyniu. Spotkania takie sprzyjają koniecznej wymianie myśli pomiędzy różnymi nurtami podzielonego, ale dążącego do jedności chrześcijaństwa na Ukrainie. Tego typu spotkanie, podczas którego podkreśla się wartość modlitwy i wspólnoty chrześcijańskiej jest twórcze. Modlitwa w intencji Ojczyzny jest obowiązkiem każdego wiernego.

Wiara i religia zajmują kluczowe miejsce w każdym społeczeństwie, dlatego powinni się znajdować w centrum życia społecznego, a nie na jego peryferiach. Chcemy spojrzeć na siebie ponad podziałami religijnymi, narodowymi, politycznymi, dostrzegając człowieka w drugiej osobie. Duch wiary bardzo nam w tym pomaga.

Michał Kowaluk



У нас на Волині - У нас на Волині

OSTROGSKIE CZYTANIA NAUKOWE

27-28 września 2019 roku

W dniach 27-28 września 2019 r. w nowym korpusie Akademii Ostrogskiej odbył się Ostrogskie Czytania Naukowe nt. historiografii ostrogianów i dziedzictwa kulturowego książąt Ostrogskich.

W ramach Uniwersytetu Narodowego „Akademia Ostrogska” działa Centrum Badań nad Dziedzictwem Książąt Ostrogskich. Plany badawcze prof. Mykoły Kowalskiego realizują z sukcesem jego uczniowie, zwłaszcza trzech z nich: kandydat nauk historycznych Ihor Teslenko, magister Taras Wychowanec i kandydat nauk historycznych Mykoła Błyżniak.

Ihor Teslenko przedstawił konspekty (zeszyt) ks. Dawida Byczkowskiego nt. Księstwa Ostrogskiego i jego właścicieli. Olha Honczar przedstawiła temat „*Mykoła Kostomarow jako mistrz portretu historycznego (obraz księcia Wasyla Konstantego Ostrogskiego)*”. Dmytro Karan mówił nt. „*Konstanty Charłampowicz o przejściu do nowego etapu syntezy kulturowej w Szkole Ostrogskiej w XVI i na pocz. XVII wieku*”.

W drugim dniu Ostrogskich Czytań Naukowych Ihor Teslenko w swoim wystąpieniu ukazał postać jednego z pierwszych badaczy historii Ostroga, jakim był Jakym (Joachim) Perlsztajn, kolega ze szkolnej ławy Tomasza Oskara Sosnowskiego w Gimnazjum Wołyńskim w Krzemieńcu. Nb. Ihor Teslenko swego czasu też ukazał postać i genealogię Joachima Jerlicza rodem z wioski Kołom’je. Iryna Tiurmenko omówiła Ostrogiana w wymiarze mentalnym Iwana Ohijenka (metropolity Hilariona). Z kolei Wołodymyr Sobczuk przedstawił problem pochodzenia książąt Ostrog-

skich oraz pokrewieństwa z innymi arystokratycznymi klanami Wołynia w pamięci rodowej i w literaturze. Taras Wychowanec przedstawił postać Leona Bożawola Romanowskiego i jego rodowód książąt Ostrogskich i Zasławskich. Historyk sztuki Mykoła Bendiuk mówił o Pantelejmonie Juriewie i jego „*Legendach ostrogskich*”.

Dyrektor Historyczno-Kulturowego Rezerwatu m. Ostroga Mykoła Mańko przedstawił materiały do biografii i dziedzictwa badawczego męczennika ks. Mychajły Strumeńskiego. Został on ofiarą wielkiego terroru bolszewickiego. W dniu 28 lipca 1937 r. był aresztowany w Starokonstantynowie. Wśród głównych zarzutów przeciw niemu była agitacja na rzecz odrodzenia zamkniętych świątyń w okolicach Starokonstantynowa. Po krótkich przesłuchaniach i śledztwie kapłan został rozstrzelany 16 września 1937 roku w Proskurowie (obecnie Chmielnicki). Rehabilitowany został pośmiertnie dopiero w latach 90. XX wieku.

Docent katedry historii Mykoła Błyżniak zreferował temat „*Książęta Ostrogscy i ich doba w publikacjach pracowników Muzeum Ostrogskiego (w latach 50-80. XX wieku)*”.

Ostrogiana i dziedzictwo Książąt Ostrogskich wciąż cieszą się zainteresowaniem historyków i krajoznawców. Konferencje tego typu sprzyjają wymianie myśli w wymienionych zagadnieniach.

ks. Vitold-Yosif Kovaliv
vel ks. Witold Józef Kowalów



З життя Коścioла на Волині - З життя Церкви на Волині

DZIEŃ SKUPIENIA I SREBRNY JUBILEUSZ KAPŁAŃSTWA KS. ANDRZEJA ŚCISŁOWICZA

W Zdobunowie w dniu 8 października 2019 roku świętowano jubileusz 25-lecia kapłaństwa ks. Andrzeja Ścisłowicza. Z tej okazji odbył się tutaj Dzień skupienia księży i sióstr zakonnych pracujących w diecezji łuckiej. Konferencję ascetyczną wygłosił ks. Vitold-Yosif Kovaliv, a okolicznościowe kazanie w czasie Mszy św., której przewodniczył dostojny Jubilat, wygłosił o. Lech Bronisław Koszlaga OC, były wieloletni ojciec duchowny diecezji łuckiej.

Podczas konferencji w Sali katechetycznej na plebanii ks. kanonik Vitold-Yosif Kovaliv przypomniał słowa z Księgi proroka Jeremiasza, jakie w 1994 r. ks. neoprezbiter Andrzej Ścisłowicz umieścił na swym obrazku prymitywnym: „*Pójdiesz do kogokolwiek cię posłę, będziesz mówił cokolwiek tobie polecę. Nie lękaj się, bo jestem z tobą*” (Jr 1, 7). Słowa te odnoszą się do każdego kapłana. Ks. Kovaliv przypomniał postacie dwóch odważnych Apostołów Wołynia i Kazachstanu w czasach prześladowań, jakimi byli bł. ks. Władysław Bukowiński i Sługa Boży o. Serafin Kaszuba OFMCap. „*Życiem bł. ks. Władysława Bukowińskiego była Eucharystia i troska o ludzi. Miłował Boga i człowieka. Miał przedziwny dar zjednywania ludzi, nawet wrogów. Był blisko spotkanego człowieka, interesował się różnymi aspektami jego życia, obdarowywał interlokutora optymizmem i pogodą życia*” – podkreślił ks. Vitold-Yosif Kovaliv. O Serafin Kaszubę, „*Włóczęga Boży*”, na stacji kolejowej w Zdobunowie wysiadł z pociągu „*reparacyjnego*” do Polski, by objąć osieroco-

ne parafie na Ziemi Rówieńskiej. Gdy mu zabroniono pracować w Równem i okolicy, skierował swoje apostołskie stopy na szerokie stępy Kazachstanu. Wspominał także innych kapłanów, którzy przewinęli się przez Zdobunów w ciężkich czasach. Ks. Kovaliv podkreślił, że „*nie ma kapłaństwa bez krzyża. Każdy z nas ma swój krzyż. Dla jednych krzyżem jest porażka, dla innych sukces; dla kogoś innego krzyżem jest choroba i cierpienie*”. Swoją konferencję ks. Kovaliv zakończył modlitwą o kanonizację jeszcze jednego syna Ziemi Wołyńskiej, bł. Jana Beyzyma, którego wspomnienie liturgiczne przypada 12 października.

Po konferencji ascetycznej zebrani przeszli do kościoła parafialnego pw. Świętych Apostołów Piotra i Pawła, gdzie po Adoracji Eucharystycznej została odprawiona uroczysta Msza święta. W okolicznościowym kazaniu o. kanonik Lech Bronisław Koszlaga OC, zwracając się do jubilata i wszystkich obecnych, powiedział: „*Bóg Cię powołał. Na tej drodze chce Cię widzieć świętym. To pierwszy fundament naszego życia. Święci przeżyli swoją przygodę z Bogiem w cierpieniu. Bez tego nie ma zbawienia. Droga do świętości kapłana, zakonnika czy zakonnicy, rozpoczyna się na kolanach, od modlitwy*”. Ojciec Lech B. Koszlaga OC życzył ks. Andrzejowi Ścisłowiczowi świętości i wyraził nadzieję spotkania się na jego złotym jubileuszu kapłaństwa.

Lucja Zalewska

